

PLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 9 MAJA 1931 ROKU

NR. 19.

TREŚĆ NUMERU: Kobieta a kryzys gospodarczy — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Zdenka Markovic — *S. P. O.* Lustro (nowela) dok. — *Max Wit*. Poezje: „Sen” — *Zofja Rościszewska*. Zamiast podróży naokoło świata — *Aura Wyleżyńska*. Przez niebotyczne szczyty Pamirów — *Janina Łada-Walicka*. Wilno w wodzie — *Eugenja Kobylińska-Masiejewska*. Pierwszy Walny Zjazd „Rodziny Policyjnej” — *Natalja Jastrzębska*. Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. Statystyka nieporozumień — *W. Borudzka*. Złoty środek — *A. D.* Chrabąszcz majowy i walka z nim — *Marzenna Saryusz-Stokowska*. O reformę w handlu jajami — *Pani Elżbieta*. Obiady dla inteligencji pracującej — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Książki nadesłane do Redakcji. Kolorowy dodatek „Mody i roboty”. Arkusz wzorów i tablica kroju.

KOBIETA A KRYZYS GOSPODARCZY

Piętnastoprocentowa zniżka pensyj urzędniczych wywołała zrozumiały popłoch i przygnębienie wśród inteligencji pracującej. I nie tylko wśród inteligencji. Bo skurczenie się budżetu rzesz urzędniczych pociągnie za sobą zmniejszenie konsumpcji i w pierwszym rzędzie odbije się na dostawcach, zarówno na właścicielach sklepików spożywczych i handlów kolonialnych, jak na wielkich domach towarowych, które dotychczas w stosunkach ze swą klientelą operowały pomyślnie ratami. Teraz ta deska ratunku wymyka się z rąk zdeзорjentowanych odbiorców. Jak tu zaciągać nowe raty, kiedy dawne jeszcze nie spłacone i niewiadomo, kiedy się je spłaci przy zmniejszonej pensji? Dla ludzi, normujących swe wydatki wedle pewnego, choćby najbardziej luźnego budżetu — klęska; dla tych, co żyją z dnia na dzień, wogóle bez budżetu (a tych, niestety, jeszcze jest u nas sporo) — katastrofa.

Nie do nas należy rozstrzygnięcie kwestji, czy metoda obcinania pensyj urzędniczych była w danym momencie najwłaściwsza i najbardziej celowa. Rozumiemy, że to jest sygnał niebezpieczeństwa, jeden z symptomatów zastraszającego kryzysu ekonomicznego, tej choroby powojennej, która zatacza coraz szersze kręgi nie tylko u nas, ale w całym świecie cywilizowanym.

Źródła jej tkwią głębiej, niżby się napozór zdało, kto wie, czy nie w samej istocie nowoczesnego ustroju ekonomicznego, i dorywcze ich zasypywanie może tylko odwlec katastrofę, ale nie uleczy zła. Tu konieczne są daleko idące reformy natury czysto gospodarczej, normujące wzajemny stosunek produkcji

i konsumpcji, podaży pracy i jej popytu, przyrostu ludności i skierowania jej nadmiaru we właściwe łożysko wytwórczości.

Do pomyślnego rozwiązania tych zagadnień w praktyce niezbędna jest nie tylko głęboka wiedza i znajomość warunków miejscowych, ale i to, co można nazwać genjuszem ekonomicznym: zdolność jednoczesnego ujmowania kompleksu różnorodnych zagadnień na rozmaitych płaszczyznach, sprowadzania ich do jednego wspólnego mianownika i rozstrzygnięcia nie pod ciasnym kątem interesów jednego państwa czy narodu, ale z uwzględnieniem najrozleglejszej perspektywy rozwoju zbiorowości ludzkiej.

Ludzkość łaknie genjusza ekonomicznego, ludzkość ginie i karleje bez jego opatrnościowej ingerencji. Pauperyzacja społeczeństw — to chyba najbardziej zabójczy z gazów trujących, jakie wynaleziono po wojnie. Od tego gazu nie ocali maska ochronna w postaci takich, czy innych półśrodków — trzeba śmiało wyjść mu naprzeciw i zniweczyć go w samym jego źródle. Ale zanim się to stanie, długo jeszcze klęska ekonomiczna będzie najdotkliwiej gniotła tych właśnie, którzy jaknajmniej mogą wpłynąć na jej zażegnanie: szary tłum wykonawców, wyrobników biurowych, których inicjatywa z konieczności ogranicza się do odruchów samoobrony, jakże mało skutecznych i słabo uwzględnianych przez czynniki kierownicze. Miljon szarych kółeczek wielkiej maszyny państwowej — zawiasy społeczeństwa, które skwapliwie zacinają skrzypiec, skoro im poskąpiono kropli oliwy.

Tak, te piętnaście procent zniżki — to dziś zmo-

ra wielu ojców i matek, to dziura w budżecie, której niema czem załatać, szpara, przez którą sączy się jad troski, a wycieka spokój, równowaga, nadzieja na lepszą przyszłość...

Prawda, że u nas wiele rodzin żyje nad stan, ale ileż jest takich i to właśnie wśród inteligencji, które nadludzkiemi nieraz wysiłkami, cudami heroicznej oszczędności utrzymują się na powierzchni życia. Dla tych poważne skurczenie się budżetu równa się przekreśleniu jednej z tak zwanych koniecznych potrzeb życiowych, bo na niekonieczne i tak nie starczyło.

I robi się oto żalony przegląd. Mieszkanie? i tak zaciasne, jedno drugiemu w niem zawadza, odnajdając niema czego. To musi pozostać, jak było. Opał? przez letnie miesiące można oszczędzić na opale, to prawda. Elektryczności można też mniej wypalać. To są groszowe oszczędności. Ubranie? — No tak, mąż jeszcze to lato przechodzi jakoś w zeszlorocznym garniturze, a żona pod spłowiałym płaszczykiem ukrywać będzie wstydliwie niedokładności i braki wielokrotnie pranych, kusych, zaciasnych i niemodnych sukienek. Trudno! to jest ofiara, złożona na ołtarzu powszechnego kryzysu, to można jakoś przetrzymać. Ale dzieci? dzieci, które wyrastają z ubranek i drą buciki, jak szalone. Dzieci, które muszą iść do szkoły, dzieci, które powinny dobrze jeść, używać ruchu, sportów i świeżego powietrza, a które prawdopodobnie w tym roku nie wyjadą na letnisko. To jest punkt najboleśniejszy — dodajmy — w normalnych rodzinach zazwyczaj nietykalny. Rodzice raczej sami wyrzekną się wszystkiego, niż poskapią dziecku.

I tu przechodzimy do dwu pozycji, na których prawdopodobnie odbije się wszystko inne: odżywianie i tak zwane „potrzeby kulturalne“. Pokarm dla ciała i strawa dla ducha. Kartoflanka na kostkach i gazetka sensacyjna za dziesięć groszy, oto pierwsze emanacje pustej urzędniczej kieszeni. Uczciwy kotlet wieprzowy z kapustą jeszcze uperfumuje mieszkanie raz na tydzień świątecznym zapachem, ale książka, własna książka — to niemal marzenie ściętej głowy, choć pełno ich (tych książek — nie głów) na kosztach po złotówce. Ale kto ma złotówkę przy duszy, woli nasycić ciało mięsem i chlebem, niż morzyć ducha głodem cudzych wizyj, tak dalekich od własnego kieratu i wygryzionego żłobu...

Spółceństwo, mózgowo niedokarmiane od szeregu lat, zacznie niedojadać fizycznie. Nie wszystkie zakłady gastronomiczne pójdą za przykładem pewnej popularnej w stolicy jadłodajni, która, uwzględ-

niając potrzeby swej przeważnie urzędniczej klienteli, zniżyła ceny obiadów o 15 procent. Zresztą nie wszyscy mogą i chcą korzystać z obiadów restauracyjnych, które kalkulują się jedynie dla osób samotnych, ale w budżecie rodzinnym wynosiłyby pozycję, niewytrzymującą krytyki.

I znowu cała sprawa oprzeć się musi na kobiecie. Któż, jak nie żona i matka ocali rodzinę urzędniczą od systematycznego niedojadania? Któż, jak nie kobieta, ta, niewyczerpana w pomysłowości szafarka, zbrojna już dziś nietylko w tradycje gospodarskie, ale w zdobycze organizacji naukowej, i, co ważniejsza, we własne, jakże gorzko nieraz opłacone, doświadczenia przy swoim malutkim warsztacie domowym.

Podczas gdy panowie stworzenia jednym pociągnięciem pióra przekreślili twój szczupły budżet, ty, szara, przyziemna mrówko, z godnością piastująca chlubne, a tak bardzo odpowiedzialne stanowisko pani domu, będziesz wysilała swój biedny nieraz pracą zarobkową do ostateczności wyczerpany mózg nad rozwiązaniem pytania: co zrobić, aby na wszystko starczyło? i na mleko dla Kazi, i na buty dla Jasia, i na przeniecowanie marynarki dla męża, i na pęczek choćby tych najtańszych, łąkowych kaczęćców dla siebie, bo przecież jeszcze jesteś młoda, i idzie wiosna, a chociaż ma być ona dla ciebie przednówkiem, spodziewasz się jeszcze czegoś więcej od życia, niż walki, zawsze walki o chleb powszedni dla siebie i najbliższych.

Ale dzisiaj to jest twój najpilniejszy obowiązek, najbardziej palące zagadnienie chwili. Zadaniem piśma naszego będzie przede wszystkim ułatwić tę walkę, stępić godzące w ciebie ostrze trosk i braków, skoro go narazie nie można całkowicie odwrócić. „Bluszcz“, który od początku swego istnienia stał na straży obowiązków i praw kobiety, musi przyjść jej z pomocą w chwili, gdy na jej barki spada nowy ciężar kryzysu ekonomicznego.

Dwie są drogi do zmniejszenia tego ciężaru: pierwsza — to stworzenie systemu oszczędnościowej gospodarki, opartej na racjonalnym przystosowaniu się do rozporządzalnych środków i umiejętności ich wykorzystaniu; druga — to znalezienie nowych źródeł dochodu, których dopływ umożliwiłby utrzymanie budżetu rodzinnego w pożądanej równowadze.

Obie te drogi rozpatrzemy szczegółowo w szeregu artykułów, ściśle związanych z życiowymi potrzebami naszych Czytelniczek. *Stefanja Podhorska-Okołów.*



ZDENKA MARKOVIČ

Rosła a proporcjonalna postać. Ogorzała od południowego słońca twarz, rozświetlona parą ciemnych wyrazistych oczu i jasnym uśmiechem ust, z których mowa polska płynie swobodnym potokiem — niegdyś wuczona, dziś całkowicie przyswojona, własna. Szczerłość i prawość bije od tej postaci i tego uśmiechu. Tacy ludzie wierni są w przyjaźni przez całe życie. Wiernym i oddanym przyjacielem Polski jest pani Zdenka Markovic.

Przyjechała z Zagrzebia na Kongres polsko-jugosłowiański, ale nie od dziś zna i kocha Polskę. Jako młode dziewczę, przechodząc kurs porównawczy grammatyk słowiańskich w wyższych klasach liceum, zapoznaje się z językiem polskim. Na Konopnickiej uczy się czytać po polsku i kochać ten daleki pobratymczy kraj, ziemię mogił i krzyżów, na której tak smutno śpiewają poeci.

W 1912 r. poraz pierwszy przybywa do Polski i dostaje się odrazu w atmosferę wysokiego napięcia duchowego, jaką wzbierał ówczesny Kraków. Bezpośredni kontakt z dramatem Wyspiańskiego decyduje o jej dalszym rozwoju. W dwa lata później młoda sławistka doktoryzuje się we Fryburgu na podstawie pracy p. t. „Der Begriff des Dramas bei Wyspiański“, ogłoszonej po polsku w Poznaniu w 1924 r.

Zadziwiająca jest intuicja, z jaką ta słowianka zdołała wniknąć w tajniki wyobraźni, tak mocno związanej z legendą lokalną i z historyczną przeszłością naszego narodu, jak wyobraźnia twórcza Wyspiańskiego. Element słowiański był tu niezawodnie platformą porozumienia. Na gruncie wspólności rasowych wyrosło duchowe pokrewieństwo.

Owocem jego jest szereg studjów oryginalnych o literaturze polskiej, a mianowicie: „Jerzy Żuławski“, „Marja Konopnicka — polska poetka ludu“, „Bolesław Prus“, „Drogi duszy polskiej“, „O poezji Jana Kasprówicza“, „Indywidualność Juliusza Słowackiego“. Zapomocą tych prac szerzyła wśród jugosłowian znajomość naszej literatury i kult idealów, zaklętych w dzieła przodujących duchów naszego narodu.

Jednocześnie dokonywa szeregu przekładów. Sewera Maciejowskiego: „Bajecznie kolorowa“, „Wybór nowel“ Konopnickiej, „Noc na Palatynie“ Ligockiego, „Gody życia“ Dygasińskiego mają dzięki niej utoronaną drogę do serc i umysłów braci jugosłowiańskiej. Obecnie pracuje nad przekładem „Niedobrej Miłości“ Zofji Nalkowskiej.

Już sam wybór tych utworów dostatecznie mówi o upodobaniach i skłonnościach autorki. Natura, lud wiejski, serce człowieka, niespokojne i nigdy



Dr. Zdenka Markovic.

nienasycone, — oto trzy naczelné momenty jej zainteresowań. Więcej i dokładniej powiedzą nam o nich jej utwory oryginalne, pisane piękną poetycką prozą: „Dom w śniegu“ i „Dom w słońcu“.

„Dom w śniegu“ — to suma głębokich przeżyć duchowych w ciszy i samotności alpejskiego sanatorium, cykl rozmyślań o życiu i śmierci, rzucony na tło zimowego krajobrazu.

„Dom w słońcu“ — to hymn w tonacji major, wyśpiewany na cześć słońca i życia, to radosny odpowiednik tamtej, minorowej symfonii.

Kiedy się pozna panią Zdenkę Markovic, kiedy się znajdzie w kręgu promieniowania jej zdrowych, świeżych, krzepkich fluidów życiowych, rozumie się, jak silnie człowiek jest w niej związany z twórcą.

Tak właśnie powinna wyglądać kobieta, która przeszła przez „Dom w śniegu“, aby zamieszkać w „Domu słońca“.

S. P. O.



L U S T R O

(n o w e l a)

2)

Ogarnęła go całym wykrojem zapadłych wgląd oczu i z trudem odczytywała rysy mężczyzny. Glinę miał w twarzy i grymas wryty cierpienia.

— Tomaszu najmilszy, mój dobry, najlepszy, mój cudny!...

— Nie jestem chyba cudny, spójrz na mnie, zmieniłem się, — uśmiechnął się niemal wstydliwie, kryjąc twarz w cieniu ramienia.

— Czy i ja inna? — spytała — czy inna? — powtórzyła, trącona nagle nawrotem skojarzeń i myśli.

— Ta sama, ta sama moja!...

— I ty mój, mój! — belkotała dziecinnie, jakby chciała upewnić się dobrze, jak brzmią te słowa w ciszy pokoju.

III.

Dnie stawały się coraz dłuższe, jaśniejsze, pełniejsze. Renata siadała o własnych siłach i, oparta na stosie poduszek, całymi godzinami ze zdumieniem oglądała własne ręce, do których nie umiała się jakoś przyzwyczaić.

...Te żółte dłonie szkieletu, obciążone skórą zwiotczałą i żadną, nie mogły chyba należeć do niej, a twarz?

— Najpiękniejsza — mówił codziennie Tomasz, kładąc jej na dzieńdobry kwiat purpurowej róży na posłanie.

— Jest, jak krew, jak stygmat — myślała, biorąc ten dar obiema rękami i zanurzając w jego chłodną, najwonnejszą wilgoć nos i wyschłe z pragnienia usta.

Tomasz tężał w adoracji, patrząc na białą, wynędzniałą twarz kobiety, przechyloną nad pysznym kielichem kwiatu.

— Niechaj ci użyczy rumieńców. — żartował łagodnie.

— I piękna, Tomaszu — dodawała błagalnie, szukając jego spojrzenia.

— Jesteś piękna.

— Żartujesz chyba, te ręce nie kłamią przecież.

Nie odpowiadał nigdy, tylko pokrywał je burzą pocałunków, gdy ona ciągnęła uparcie:

— O mój miły! a jednak obawiam się lustra, nie dawaj mi go nigdy, nie dawaj.

Strach przejmował ją na myśl o tem pierwszym w lustro spojrzeniu...

— A jeśli nietylko ręce, nietylko? — pytała, szukając mimowoli w jego źrenicach odbicia swej twarzy.

— Cóż z tego? wszak kocham cię taką, jaką jesteś.

A przecież bała się lustra, lecz chciała go, musiała w nie spojrzeć, czy tylko te ręce?

IV.

Doktór pozwolił otworzyć okno.

Tomasz z Renatą siedzieli razem na tapczanie. Ona, otulona w koldry i poduszki, on przy niej z rękami w jej dłoniach, z palcami na palcach, które wbiły się z siłą w mięśnie mężczyzny.

Nowe wiosenne powietrze, wysycone niemi słonecznych blasków, falowało bezszelestnie wokół Renaty.

Doktór zabronił jej rozmawiać, mogła więc tylko patrzeć szeroko rozwartymi oczami w wąski prostokąt okna, obrośnięty włochatymi strzępami waty, powtykanej przezornie przez Tomasza w czasie jej choroby.

Coś, niby mocarna, lecz miękka dłoń gładziła ją po twarzy, strząsając niewidocznymi palcami potoki ożywczego tchnienia, które wypełniały jej zmęczone płuca słodyczą pełni i nieznanego, żywiącego ciepła.

Rozkosz istnienia stawała się niemal męcząca. Mimowoli opadały powieki na szeroko rozwarte, połyskliwe źrenice, zrywając z piersi westchnienie niepojętego szczęścia. Opuściła zwichrzoną, jasną głowę na ramię Tomasza. On był także siłą wiadomą i jawną, jak żywiące tchnienie niewidzialnego z za okna.

— Wyjedziesz niedługo—odezwał się Tomasz.— Pojedziesz w góry. Tam staniesz ostatecznie na nogi; będziesz zupełnie zdrowa po powrocie, będziesz silna, będziesz znowu moja, jak dawniej, jak przedtem.

— Będę twoją — powtórzyła, okrywając usta— będę twoją, wszystko winnam tobie... to prawo do tego oddechu i życie, które ten oddech wyzwała... wszystko twoje...

— Wrócisz w maju — przerwał, pochylając się do jej ucha. — Wrócisz silna, mężna, jak przedtem i wypadnie się wtedy mną opiekować, bo jestem sam bardzo strudzony i stary... Dwa miesiące chorowałaś, dwa wieki. Życie przesunęło się, wyparło do przodu, a my, skuci w tym pokoju twoją chorobą, powstajemy z długiego letargu.

Potarł nerwowo czoło grzbietem dłoni, której nie wypuszczała z uścisku. Wiedziała, że winna mu wszystko, chciała więc żyć dla niego.

Gdy zamknęli okno, sama postanowiła przejść do łóżka.

— Ja sama, ja sama — prosiła dziecinnie, gdy chciał ją przenieść, jak codzień. — Ja sama spróbuję.

Uniosła się i opadła natychmiast, nogi nie mogły jej utrzymać. Serce zatrzepotało żałośnie, ale nie mogła pozwolić sobie na słabość, nie mogła pozostać na tapczanie, gdy on patrzył na nią z napięciem, strachem i nadzieją. Musiała się podnieść, musiała przejść dla Tomasza. Zebrała w sobie wszystką wolę i wszelką moc potrzebną i uniosła się znowu. Niby zahypno-

tyzowana, ruszyła przed siebie, Tomasz posunął się za nią, szeroko rozkładając ręce, gotów pochwycić jej zwiewny kształt, który w tej chwili, gdy stąpała sztywna i zmechanizowana, wydał się dalekim, odmaterializowanym i obcym.

Do łóżka musiała przejść pięć, albo siedem kroków, ale pomyślał nagle, że ona nigdy nie przebędzie tej przestrzeni, która dla niej wydłużyła się w siedem zmudnych mil, siedem wieków niesłuchanego cierpienia i nieludzkich wysiłków.

...Jeszcze krok, jeszcze jeden, już łatwiej, już lepiej, każdy krok stawał się pewniejszy, teraz wypadło okrążyć tylko stół prostokątny, niespodziewanie uparty. Tomasz właśnie porwał się, aby go odsunąć...

— Nie, nie trzeba, Tomaszu — i odważyła się obejrzeć na niego. Ześlizgnęła się po napiętem spojrzeniu, pełnem, jak sądziła, politowania, którem ogarniał jej niepewne i fałszywe ruchy i zatrzymała się na lustrze, wiszącym na ścianie. Ujrzała w niem dwie sylwetki — swoją i Tomasza.

Szybciej, niż zdołał się opamiętać, pchnięta przyływem ożywczej energii, stanęła przed wielką, lśniąca taflą zwierciadła i pochyliła się drapieżnie ku niemu...

Z lustra wychyliła się naprzeciw czyjaś żółta maska z zakłęśniętymi wpadlinami policzków i ostrym, starczym podbródkiem, którego wątlą, zmarszczoną skórę przebijały dwa guzy kości. Z wnętrza zapadłych pod czoło oczodołów, wyglądały nieruchome, szerokie oczy bez źrenic, a raczej dwie puste, zastrygłe źrenice... To była ona, Renata.

Odrązu zrozumiała, dlaczego miał tyle bólu w swych oczach i dlaczego unikał jej twarzy.

Przenikliwy krzyk rozdarł ciszę pokoju:

— Nie! Nie! To nie ja! Nie! — i zanim Tomasz

mógł ruszyć się z miejsca, przywołany ostrzem jej jęku, osunęła się na kolana, niby ścięta u podstawy, biała, nikła brzoza.

Gdy pochylił się nad nią, ujrzał czerwoną plamę na policzkach. Róża krwawa, jak stygmat, zakwitła na jej wybielonem odrazu obliczu. Krew użyczyła Renacie rumieńca, była teraz inna, piękna i niczyja.

V.

— A jednak będziesz żyła—przekonywał z uporem w zlocistej pajęczynie zapadającego dnia — ten wstrząs był tylko psychicznej natury, opóźni jedynie rekonwalescencję, doktor...

— Nie chcę żyć! Nie mogę żyć! — przecięła nerwowo — Poco? — zalkała histerycznie, tuląc głowę w poduszki — Poco?... Czy, aby trwać, jako zbędny ciężar przy tobie?... Teraz już odnajduję politowanie i litość w twym spojrzeniu, a jutro może nienawiść... Przecież...

— Renato! Renato! — jęknął z wyrzutem, ale ona ciągnęła uparcie:

— Czy można kochać „taką“ kobietę, która przestała być sobą?... zwalnię cię z...

Nie pozwolił jej skończyć tej myśli i przykrył jej wargi dłonią, podejmując z wyrzutem i bólem:

— Kochanie nie zna „takich“, ani „innych“ kobiet... Miłuję cię tylko taką, jaką widzę w sobie, w zwierciadle swej wyobraźni. Biada, jeśli usprawiedliwienia miłości szukamy w lustrze!... — Z pasją, jedynym ciosem pięści rozbił je w kawały.

Renata z głośnym szlochem przywarła ustami do ręki Tomasza.

W miedzianej poświacie zachodu, kującej świat w matowe blaski metalu, wkraczała w nią wraz z życiem nowa, żywiąca prawda.

Max. Wit.

Koniec.

ZOFJA ROŚCISZEWSKA

S E N

*Wpływam w sen z cichej przystani sypialni,
Życie idzie na dno, już wszyscy nieobecni, niewidzialni...*

*W łozu, jak w czarnej gondoli, pruję lagunę tajemną,
Jestem wiosłem i skrzydłem, nie czuję, jak jest ciemno.*

*Wszystko w śnie się układa... dzień taki łatwy, prosty,
Płynę nerejda, czy algą, omijam Westchnień Mosty...*

*Radość wypijam, kocham gorąco, w blasku się nurzam,
Kwitnę co nocy w mglistej cieplarni — sztucznie pędzona róża.*



Alger na wystawie kolonialnej w Paryżu (projekt architekta Montaland).

ZAMIAST PODRÓŻY NAOKOŁO ŚWIATA

(od specjalnej korespondentki)

Jak swego czasu Magellan na statku o wielu żaglach, jak niedawno Alain Gerbault na małej łódce, jak codnia miliony osób w wygodnym kinowym fotelu — tak w Paryżu wkrótce, dzięki Międzynarodowej Wystawie Kolonialnej, odbyć będzie można podróż naokoło świata.

Już blisko od roku czerwonym częstokołem odgradzono część lasu Vincennes, rozlepiono na nim ostrzeżenie, jaką karę poniesie, kto bez pozwolenia przekroczy bramy; europejskimi rękami, triukami i tandetą zaczęto budować od wieka stojące gmachy. A także europejską sztuką, pomysłowością i talentem. Różne kawałki kuli ziemskiej przeniesiono do Paryża, oblicze całego świata dowolnie pokazując.

Na budowie Arts Décoratifs zauważyłam, iż architektura wystaw rządzi się specjalnymi prawami: miast zaczynać od początku, oprzeć się na podstawie, wznosić się próbuje od końca. Najpierw wieża wieńczy rusztowanie, a potem układa się ściany. Jakby dziecko nie stawiało kroków, lecz od razu biegło. Choć, kto wie, czy wkrótce dzieciny nie raczkować, lecz latać zaczną?...

Jeśli chodzi o budowę gmachów wystawowych, to ten rodzaj uprzedzania chronologii ma urok niezręczności i dlatego już na miesiąc przed otwarciem z ciekawością oglądać można było narodziny

Nowego Świata. Gdy gotowy stanie przed okiem widzów, nie wiadomo będzie, z czego powstał; w trakcie pracy łatwo przyrzuć się można materiałom, do wzrostu jego użytym. Uderza ich różnorodność — słoma znów w Paryżu, jak niewiadomo przed wielu wiekami, jest en honneur. Złote snopy leżą na ziemi, jeżdżą na ciężarowych autach. Tylko że do pierwotnego sposobu krycia dachów dwudziesty wiek wprowadza swoje wielkopańskie zachcianki i nowomodne ulepszenia. Pawilon Oceanji będzie miał głowę chochoła, ale pod nią czaszkę z blachy. A może wykwalifikowani dzisiejsi majstrzy nie są dość pewni siebie?

Poza tem wszystko buduje się na „chybicka“. Chantier — „wyrobisko“, nie wiem, czy tak się w życiu codziennym, jak w dykcjonarzu, nazywa? — pokryte ziemią, gruzem, posypane piaskiem, tu góra kamieni, tam stos cegły. Kioski jeszcze, jak skrzynki na owoce: deski — powietrze, deski — powietrze. Gdzieś indziej już w wazonach stoją krzewy. Są miejsca puste; niejeden, który za drogie pieniądze plac zakupił i miał nadzieję sto proc. na nim zarobić, chodzi wkoło ze spuszczoną głową. Na drugiej wizycie zobaczyłam, że wszystko rośnie, rośnie, podlane wapnem, cementem i płynną monetą.

Wiele pawilonów na głównej alei z zewnątrz już

gotowych; widnieją napisy: więc to Gujana, a to Nowa Kalifornia! Najwięcej o tych krajach wiemy z kroniki zbrodniczej. To Martynika — cesarzowa Józefina urodziła się na Martynice! Pawilon Madagaskaru — wszyscy dawno byli na operetce, poświęconej królowej tego kraju, ale mało komu przyszło na myśl, że ta dama w napoły europejskim stroju panować mogła z tego zamku, do którego spokojnych, choć ceglanych murów przylega wysoka, czworokątna wieża, zakończona czterema głowami gigantycznych byków. Architektura południowo-zachodniej Afryki w dziwne zamyka się kształty — wielkie baby, których szczyt wylał się przez formę, krwawo polukrowane, najęzione zadługimi migdałami. Różne odcienie czerwonego — to cecha Afryki; jak kolor żółty jest najczęściej powtarzaniem kolorem Afryki. Nietylko dlatego, że temi barwami oznaczone były mapy naszych dzieciennych atlasów...

Gdy wychodzi się z wystawy i wraca do miasta, uderza ciasnota dzisiejszych pojęć estetycznych, zakrzepłość form. Przez wieki hodowaliśmy różne style, sądziliśmy, że objęły one wszystko, co istnieć może w dziedzinie piękna, i długo wyobrażaliśmy sobie, że w obrębie naszej części świata zmieściło się wszystko, co duch ludzki pomyślał i czego zapragnął. Wystawa kolonialna powie nam więcej, aniżeli kina, książki Paul Moranda i nasza wyobraźnia powiedziećby nam mogła, przedewszystkiem więcej, aniżeli nauka geografji, nazwy „Afryka“, czy „Azja“ podzielią się na szereg podwładnych sobie słów, doświadczałą wiedzą własne nakreślimy granice między częściami świata, krajami i ludźmi.

Przyjdzie nam to bez trudu i bez wysiłku. Albowiem nietylko ramy do obrazów, ale obrazy tamtego życia widzieć będziemy. Różne pawilony zbiorą dzieła sztuki, odnoszące się do kolonij; książki o nich przypomną, co, jak i kiedy mówiono o nieznanym ziemiach.

Dioramy zrealizują to, czego, jako przeszłość, niepodobnaby inaczej pokazać. Świątynie, zamki, pałace, domy, chałupy, lepianki i namioty napelniają się stałymi swymi gośćmi — lokatorami czy właścicielami; przeszło tysiąc ludzi czarnych, czerwonych, żółtych, czekoladowych wieść będzie w Paryżu zwykły swój tryb życia. Jedni pójdą do meczetu i dla nich głos muezina będzie się co dnia rozlegał; drudzy w świątyni Anghor-Wat będą składali hołd swojemu bogu; znajdą się też tacy, co przywiozą ze sobą fetysze, dziwne zabobony, i duchy przodków będą wywoływali w mieście światła, jak czynią to w ciemnościach afrykańskich nocy.

Przyjadą królowie murzyńscy z książek, niegdyś na Gwiazdkę otrzymanych, w złotych koronach, a bez butów; przyjadą mądrzy starcy, wojownicy, uzbrojeni, jak dla zabawy; kobiety, znające nieznaną w Europie metody trwałego uczesania: mokre włosy tarzają w ziemi, lub w glinie; przyjadą ludożercy i dzieci ich, wychowane przez Ojców-Misjonarzy; przybędą

korporacje zjadaczy ognia i korporacje zaklinaczy węzów; kambodżyjskie tancerki: raz już, na wystawie 1900 roku, tańczyły ich babki, tam bowiem kobiety prędko się starzeją; z Indochin kucharkę, którzy gotują potrawy tak skomplikowane, jak niegdyś alchemicy eliksir życia i jak po dziś dzień cyganki hiszpańskie — napój miłosny przyrządzają. Mocniej, nawet od niego, upajający będzie punch z białego rumu.

Gdy tam-tam zawoła, zbiegniemy się patrzeć na rycerzy, tańczących prawie jak girle, na potwory w maskach zwierząt i demonów, na kobiety w fartuszkach z futer roślinnych u bioder, stóp i dłoni, na utatuowane ciała, bransolety z kości słoniowej, wrosłe w ramiona, i paciorki po trzy grosze — ozdoby, z których równik najbardziej jest dumny. Śmiać się do nas będzie, jak europejczyk do śmiechu skory, czarny Afrykanin, uciekający śmierci, kochający życie, prostą białą linję zębów na czarnej rysujący twarzy; zdumiewać nas będzie zamilowaniem do bezwładu, uśmiechem, jak skrzywienie, witać, zapatrzony w głąb swoją, oderwania od ziemi szukający, skośnoki, żółty człowiek.

Tyle różnorodnych nowych piękności Europa pozna, iż w wielkim pewno będzie kłopotcie, gdy przyjdzie jej wybrać Miss Kolonję...

Wystawa, obok ludzi, pokazać też pragnie świat zwierzęcy. Jezioro Daumesnil, do niedawna brudna kałuża, zapelni się rybami, na których poszukiwanie wyjechała cała wyprawa. Profesor Gluve, specjalista-ichtjolog, jeździł do Hagi, Monaco i Londynu, aby zbadać, jak najlepiej i najmilej żyć stworzeniom, z głębokich oceanów do płytkiej wody przeniesionym. Wyspę Bercy zapelniać mają twory czworonogie, dwunogie i pełzające, prawie na swobodzie, bo nie w klatkach, tylko w ogrodzeniach — aby dać im złudzenie dżungli, a nam możliwość podpatrzenia ich zabaw i gniewów.

Są kraje, gdzie nawet zwierzęta noszą amulety. Życie pereł z Taiti pokażą i rozrost koralowego krzewu. Rajskie ptaki bezpiecznie latać będą nad naszemi głowami, pewne życia, bo niemodne.

Zanim za dni kilka bramy otworzą pieniądze — nie, jak dotąd, dziennikarskie karty — Paryż, skłonny do karcenia własnych pomysłów, już dziś daje — parodję wystawy. Rewje biorą je za temat śmiechu, w tym roku bal Hordy Montparnassowskiej nie wymaga nic więcej ponadto, co w Kongo, Gwinei, na Wybrzeżu Słoniowem stanowi strój tubylców. Z pewnością bowiem międzynarodowi malarze chętniej będą brali wzór z okolic Ekwatoru, aniżeli z krajów, przez słońce mniej nawiedzanych.

Żyjemy w oczekiwaniu...

Narazie przestaliśmy chodzić do kina: poco nam Hallelujah, Afryka, czy Rango, skoro czeka nas podróż naokoło świata? Każdy może ją odbyć.

Aura Wyleżyńska.



Pani Jadwiga Toeplitz-Mrozowska na koniu kirgizkim w dolinie Mus-kol.

PRZEZ NIEBOTYCZNE SZCZYTY PAMIRÓW

Z powodu książki Jadwigi Toeplitz-Mrozowskiej o jej wyprawie na Pamiry.

Wyjątkowem dotychczas zjawiskiem jest kobieta-geograf, podróżująca w celach naukowych, odkrywająca nowe światy, idąca w nie szlakami nieutartymi, zajmująca się badaniem nieznanymi krajin i umiejąca opisać je stylem żywym i barwnym. Pani Jadwiga Toeplitz-Mrozowska, obdarzona pięknym talentem dramatycznym, już przed wojną nie mogła się pomieścić w ciasnych ramach szarej codzienności. Wstąpiła na scenę polską, gdzie w krótkim czasie zdobyła pierwszorzędną stanowisko. Zamążpójście przerwało jej świetną karierę artystyczną; niebawem w Italji, swej nowej ojczyźnie, nawiązuje kontakt z towarzystwami uczonemi i daje się poznać, jako umysł niezwykle. Podczas wojny poświęca się opiece nad jeńcami polskimi, a dom pp. Toeplitzów staje się niezwykle gościnną oazą dla wszystkich rodaków, zagnanych do Włoch zawieruchą wojenną.

Po zawarciu pokoju wprowadza w czyn swe zamiary podróżnicze. Nie jeździ utartymi szlakami, wy-

godnemi sleepingami i samochodami, zatrzymując się w luksusowych hotelach. Jej bujny temperament, jej żywy umysł pociąga Nieznane: ma żyłkę odkrywczą wielkich podróżników, a z każdej podróży przywozi bogaty plon nowych spostrzeżeń i odkryć, docierając tam, kędy przed nią nie stąpiła noga Europejczyka.

Podróże swe rozpoczyna w roku 1919 od Azji, przebywając dłuższy czas w Indjach i na Ceylonie. W przeciągu czterech miesięcy żyje prymitywnym życiem w dżungli. Zwiedza Małą Azję, Palestynę, Mezopotamję, Persję, poczem zapuszcza się w Birmanję i Tybet, wrogi cudzoziemcom. Ale największy jej triumf — to ostatnia wyprawa na Pamiry, skąd przywozi bogaty plon ciekawych spostrzeżeń i odkryć naukowych, map i pomiarów, zdjęć i opisów. Opisami wyprawy tej, bogato ilustrowanej, dzieli się nieustraszoną podróżniczką z czytelnikami swymi w najnowszej książce p. t. „La prima spedizione italiana attraverso i Pamiri”, wydanej nakładem król. italskie-





Maksymiljan Vicich, jeden z towarzyszy podróży p. Toeplitz-Mrozowskiej, na „jaku“.

po dwumiesięcznej podróży, ostatni marsz jedenastogodzinny — przybywa na wybrzeże jeziora Zor-kul.

„Jest to najpamiętniejsza data w mem życiu — powiada. — Osiągnęłam cel mej podróży. Mogę śpiewać „Vittoria!“ (zwycięstwo), tembardziej, że nazwa „Vittoria“ została nadana jezioru Zor-kul przez podróżnika Wood.

Jezioro to znane jest bardzo niewielu Europejczykom, a nawet i tuziemcom, nie zapuszczającym się w te tajemnicze krainy: z jeziora tego bierze początek potężna rzeka Amu Daria.

Chociaż śmiertelnie zmęczeni wszyscy — ludzie i zwierzęta — odczuwamy głęboką radość. Jestem tak wzruszona, że zapominam o dolegliwościach fizycznych i nie czuję trudności oddychania (wysokość 4085 m.). Powiadam sobie: „Warto było przecierpieć tyle i tak cierpieć, by ujrzeć ten cud!“

A tak powiedzieć może tylko prawdziwa entuzjastka, świadoma wielkiego celu podróży i wielka artystka, umiejąca odczuć niezwykle piękno przyrody. To piękno przyrody tworzy sztafaż książki, gdzie opisy wyprawy, nazwy ludów, ich charakterystyka splecione są w barwną mozaikę z opisem napotykanych zwierząt i roślin. Mapy ośmiu Pamirów, robione na podstawie najnowszych angielskich, niemieckich i sowieckich, uzupełnione i poprawione są nowymi pomiarami i opisami: przecie podróżniczka nasza idzie czas jakiś przejściem zupełnym nieznanem, które otrzymuje nawet nazwę: „Wąwóz Jadwigi Toeplitz-Mrozowskiej“. Dzięki niej, imię polskie zostało uwiecznione w sercu Azji — na wyżynach Pamirów.

Janina Łada-Walicka.

go Tow. Geograficznego. Punktem wyjścia podróżniczki było Osz, miasto, leżące na pograniczu postyni, oddzielającej cywilizację europejską od chińskiej. Z trzema towarzyszami: księdzem, urzędnikiem ambasady włoskiej w Moskwie i operatorem kinematograficznym — udaje się w tę uciążliwą, niebezpieczną wyprawę. Osz jest miastem karawan, a nazwa jego pochodzi podobno od Aleksandra Macedońskiego, który, zapędziwszy się do serca Azji Środkowej przez dolinę Teryońską do stóp „Tronu Salomona“, widząc horyzont ze wszech stron zamknięty olbrzymimi łańcuchami gór, zawołał: „Osz“ — co znaczy: „Dość“ — i dalej nie poszedł.

„Ja, która tu przybyłam — mówi p. Toeplitz-Mrozowska — nie powiedziałam „dość“. — Osz jest dla niej odskocznią na wyże Pamirów. Tu nabiera oddechu do tej niebezpiecznej podróży, tu organizuje swoją wycieczkę, angażuje tragarzy, stara się o konie, bydłota pociągowe i żywność.

Zaczyna się podróż: z początku zrzadka rozsiadane jurty kirgiskie dają przytułek zdrażonym wędrowcom; potem znikają wszelkie ślady życia ludzkiego, mała karawana znajduje się poza granicami „cywilizacji“, na bezdrożach skalistych, cierpiąc głód i pragnienie, bo wśród tych niegościnnych kamieni zrzadka tylko wytryska źródło. Niebezpieczeństwa na każdym kroku; kraina, kędy chętnie ukrywają się w niedostępnych pieczarach bandyci, krążą niedźwiedzie, szakale, węże, gdzie gnieźdzą się drapieżne ptaki i unoszą się chmury zjadliwych komarów. P. Toeplitz-Mrozowska z pogodą znosi braki i dolegliwości podróży, a opisuje z humorem, bo wreszcie dociera do upragnionego celu:



Kobiety kirgiskie.



WILNO W WODZIE



Ulica Kościuszki zalana po czuby drzew. — Fot. J. Bulhak.

— Wilja wściekła się, czy co? A niech ją lichol! Do mieszkania naszego włązi... Czort wie, jakie czasy! Pensja mała, woda ogromna... — narzekał mój kolega, nauczyciel.

— Proszę odesłać uczniów, mieszkających na Kalwaryjskiej, do domu — zarządził dyrektor. — Most Zielony w niebezpieczeństwie.

Dotychczas myślałam, że to są żarty. No... przecież Wilja nie robi głupstwa. Taka przyzwoita rzeka... „dno ma złociste, a niebieskie lica...” — i nigdy nie sprawia zamieszania. A jednak... Podobno teraz szumi, wzdyma się, huczy — jest mętna i niesamowita. Jest jak obłąkana. Nie miałam jeszcze czasu pójść przekonać się na miejscu o jej wyczynach, ale nowe alarmujące wieści sprawiły, że znalazłam się z kilku pierwszakami w promienne południe koło szumiącej i pryskającej pianą rzeki. Pierwszacy byli w siódmym niebie. Takim do szczęścia potrzebne są rzeczy niezwykle.

— O — o! jaka Wilja duża! Domek już zatopilo... ach! A tu baba ucieka... Prosiak! proszę pani, prosiaczek za nią. Ot, przyjemnie!

— Boże! Boże! niech ta Wilja jeszcze wyleje, żeby do gimnazjum doszło. I czemu mama wynajęła mieszkanie tak daleko od wody — utyskiwał nieoprawny pierwszoklasista, patrząc zazdrośnie na mieszkańców zalanych domów, którzy przez okna i lufciki spoglądali z troską na wezbrane fale. Jakaś służąca popłakiwała z tej niepewności w oknie, ocierając łzy fartuchem, bo właśnie woda wypełniła piwnice tego domu.

— Nie płacz, Antośka! Toż tamte domy zupełnie w wodzie stojo, a jeszcze nie zawaliwszy się. I twój wytrzyma. A na łódce pokatasz się zadarmo — pocieszała ją jakaś kumoszka, stojąca na suchym w tym miejscu bruku. — Ach jej! Choroba! — krzyknęła niespodzianie, gdy woda zamoczyła jej nogi. — Toż to nie żartuszki, moje panstwo!

Tego dnia niedużo mogłam zobaczyć, ale na drugi dzień los zesłał mi Anioła-Stróża w postaci tęgiego i dobrodusznego ojca jednego z moich piątoklasistów, a zarazem posiadacza własnego domu na zalanej ulicy Arsenalskiej.

Zjawił się nagle z samochodem pod szkołą i zabrał mnie, abym zobaczyła „Wenecję”.

Dojechaliśmy do katedry. Tu trzeba było wy-

siadać i szukać łódki. Ogarnął mię strach. Na zwykłym miejskim placu utworzyły się jakieś szerokie, jasne horyzonty, połyskujące śniegiem piany w oddali. Woda zalala Cieletnik i Arsenalską, wlała się w Mostową, która się tego wcale nie spodziewała. Nieszczęsna ta kręta uliczka została wobec tego zaatakowana z dwóch stron, bo przez podwórka wdarła się w nią woda od strony Zyguntowskiej. Mieszkańcy uciekli z parteru, gdyż meble, nawet tak poważne, jak szafy, poruszyły się z miejsca, chcąc bezskutecznie wy dostać się na grzbiecie fali przez okna. Teraz u wylotu Mostowej ukazał się męzny saper po pas w wodzie, ciągnąc jakiś przedmiot za sobą...

— Ależ siadajmy do łódki — domagał się mój kolega.

Do łódek schodziło się koło katedry po kładkach. Kładki się uginały, woda, mętna i groźna — pluskała ostrzegawczo, przewoźnicy się nawoływali, grzmiąca rozkazami policja. Łódki były wywrotne i bylejakie, a możliwość znalezienia się w wodzie dość pewna. Wahałam się, ale pierwszoklasista był nieugięty. To zdecydowało o wyprawie. Odbiliśmy od zaimprovizowanej przystani. Jakież to było dziwne! Dokoła woda i woda. Domy oniemiały z przerażenia. Już nikt z nich nie wygląda. Ale cóż to?! Na balkonie siedzi pan o solidnej postawie. Spuścił wędkę na ulicę. Śmiech!

— Co pan wyrabia! — krzyknął pierwszoklasista. — Przecież tutaj ryb być nie może!

Solidny pan oburzył się na zuchwalca i gwałtownym ruchem poszukał czegoś koło siebie. Oczom naszym ukazał się słoiczek, gdzie wytrwały rybak chował swoją zdobycz. Omal nie przewróciliśmy łódki, gapiąc się z zadartymi głowami na słoiczek...

Już zbliżamy się do celu, bo mój Anioł-Stróż jest właścicielem kamienicy Nr. 6. Skręcamy. Łódka znów się kołysze, a ja przygotowana jestem na to, że nas będą wyławiali z wody saperzy. Właśnie zbliżają się całą gromadą. Część jedzie w dziwacznej łodzi, która podobna jest do samochodu ciężarowego, a kilku innych żeglują w jakiejś metalowej skrzyni — nie skrzyni? Może to naczynie? Ma rączki po bokach i jest wybielone w środku — chyba naczynie?

— Kociół — decyduje pierwszoklasista.

— To chyba skrzynia na trumny z zamiejscowymi nieboszczykami. O, tu zakład pogrzebowy Kaczyń-



Ul. Zyguntowska w Wilnie. — Fot. J. Bulhak.

skiej pod wodą. Widziałem tam coś podobnego — wyjaśnia przygodny towarzysz podróży, który z nami wsiadł do łódki.

— Trumna! O! — cieszy się nasz najmłodszy, wytrzeszczając oczy na metalowy okręt... Żołnierze w nim stłoczeni mają zamiar najechać na nas. Krzyczymy wszyscy: i my, i oni, a najbardziej pierwszoklasista. Pan na balkonie jest niezadowolony z hałasu. Macham mu ręką na pociechę i gondola nasza wjeżdża w cień sklepionej bramy... W sadzawce podwórza odbijają się cienie prostopadłych ścian; z okien nawołują się dwie znudzone służące i szeczekają zaniepokojone sytuacją pieski. Lekkomysłny właściciel kamienicy cieszy się ze swej „Wenecji” i ogólnego zamieszania...

Mimo moich smętnych przeczuć, wracamy jak najpomyślniej do przystani na Plac Katedralny. Ale zato potem los mści się na dwóch poważnych pannach i pani z torebką, wywracając ich łódkę niespodziewanie i podstępnie. Saperzy wylawiają oszołomionych topielców, chociaż ci dają sobie radę sami, a gapie mają jeszcze jedno widowisko.

A potem pojechaliśmy w stronę Zwierzyńca. Już i tu most w niebezpieczeństwie. Na stokach górzystych brzegów saperzy wypychają piaskiem brzu-chate worki. Wilja szumi i parska. Żalala wszystkie tartaki i składy drzewa, wtoczyła się do ogrodów, owinęła mokremi ramionami bezbronne nadbrzeżne domy po same dachy i teraz właśnie niesie na rozhu-kanych falach chatę bez strzechy, gubiąc po drodze belki i deski. Przejechaliśmy most ostrożnie, patrząc z przestachem na zagrożone nad urwiskiem domy. Jedziemy ulicą Fabryczną... Właśnie w jednym miejscu otwiera się wolna od domów przestrzeń, gdzie Wilja przez zalane ogrody liże już bruki ulicy i pluszcze po sąsiednich podwórkach... Widać urwisko przeciwnego brzegu i sosny wysokopiennie, rozpaczliwie chwytające się rozczapierzoną zielonością powietrza i nieba w obawie przed szumiącą w dole otchłanią. Po piasku urwiska spływają raz po raz ciemne węże osypującej się z pod korzeni ziemi...

Ach! drgnęła jedna nieszczęsna sosna, pochyliła się nad przepaścią, zatrzepotała i jęła osuwać się z cichym trzaskiem na dół... Za nią stoczyła się druga... trzecia... Skłębilo się wszystko, zakotłowało i znikło. Za chwilę wynurzyła się skądś niewidzialna fala i uderzyła z pluskiem o brzeg ulicy, pryskając aż pod koła samochodu. A po piaszczystym urwisku znów



Katedra u wylotu Mostowej. — Fot. J. Bulhak.

skręcają się cienie niepokojących węzów. Teraz wysuwają się jakieś dwie macki, potem szerszy kadłub, potem płaskie smugi kończyn i piaskowe dziwadło spływa do rzeki bez szelestu... Zaraz potem słychać stłumiony szum — to obrywa się olbrzymi zwał gruntu i wpada w wodę. Cały brzeg rusza się, drży i płacze węzami ciemnej ziemi. Jest to widowisko wspaniałe i groźne. Milkną wszyscy. Patrzymy na ciemny grzebień sosen nad prostopadłym urwiskiem. Pionowemi kolumnami krzyku wyrastając z okaleczonego brzegu, drzewa chwytają się ciągle nieba i błagają o ratunek przed rozszałym żywiołem. Co? Znowu pełzną ciemne węże?...

Podczas pierwszych dni powodzi nad Wilnem trwała słodka kwietniowa pogoda. Przyszła bezpośrednio po mrozach, a tak łagodnie głaskała po zziębniętych sercach, że nie można było żadnej boleści odczuć dotkliwie. Zdawało się wszystkim, że i Wilję mrodość nieba ukolysze, złote dłonie słońca ugłaszczą i uspokoją, a wiatr złą pianę wypije, jak gorzkie łyżo z oczu... Więc ci, co koczowali na wzgórzach, patrząc niespokojnie na zalany w dole dobytek, nawet nie chcieli odejść, aby poszukać lepszego schroniska, czekając na Wilji zmiłowanie. Niebo było błękitne i łagodne, ludzie dokoła współczujący — więc nie czuli w sercach rozpacz, raczej ufność bezpodstawną, a w wiosennym powiewie rozkwitła.

Gdy już woda opadać zaczęła i można było przyjrzeć się nieszczęściu, ludzie łapali się za głowy... A Wilja ustępowała niechętnie i gotowała miastu nowe niespodzianki. Zagroziła mostowi Zwierzynieckiemu, obrywając kawały brzegu, i zmogła zdyszana w długiej walce elektrownię. Gdy więc mrok nocny spadł na Wilno, a nie rozbłysły ośleple nagle lampy — wtedy z wilgotnych ulic i cuchnących zgnilizną, pełnych jeszcze wody suterren wypełzła troska.

Wiosnę w Wilnie zatopiła zła, zgnila woda... Ciemne siły przewalały się dnem zbuntowanej rzeki, tarzając się w mule i wodorostach. Chwytały skurczem palców za podmyte brzegi i opadały, chichocząc, z wydartą ziemią... Wypelzały na cuchnące bagniska i wracały opile trucizną... W nurtach Wilji jęła wirować niewidzialna jeszcze śmierć.



Ul. Arsenalska. — Fot. J. Bulhak.

— Pić tylko przegotowaną wodę! — ostrzegają białe nalepki z murów miasta.

A tu raz po raz zdyszany malec zapomina o wszystkim i biegnie pod kran, skąd płynie odmieniona, złowroga woda.

— Woda, jak woda! — sprzecza się taki smyk. — Przecież krowa i koń nie będą piły z karafki, a nic im się nie stanie!

Serca matek wileńskich ściska więc niepokój, a ciemności, rozjaśniane chwiejnymi płomykami świec, noszonych wieczorem z pokoju do pokoju, nie dodają nikomu otuchy. Zburzone chodniki, rozmyte jezdnie, rozwalone domki i tysiące biednej ludności

bez dachu nad głową spadły nagłym ciężarem na ojców miasta. Akcja ratownicza zatacza już szerokie kręgi; wzięły w niej ważki udział kobiety. Stolica — Warszawa odezwała się serdecznie na krzyk z Wilna. Ale z prowincji dochodzą wciąż nowe wieści hiobowe o niespodziewanych rozmiarach klęski. Zgóry można przewidzieć, że nie zdoła się wszystkich łez obetrzeć...

Więc z tych wilgotnych ulic i błotnistych po powodzi zaułków troska wyszła już otwarcie na Wilno, nad którym z chmur ciężko stłoczonych odezwał się pierwszy, wiosenny grzmot...

A jakby niedość tu było jeszcze wody, spadł nagle gęsty, przetkany błyskawicami, deszcz...

Eugenia Kobylińska-Masiejewska.

PIERWSZY WALNY ZJAZD „RODZINY POLICYJNEJ“

Kto powiedział kiedyś, że polacy nie mają zmysłu społecznego, ten się omylił.

Żebyż to był jeden w dodatku, ale powiedzenia takie słyszy się powtarzane często, za często i dlatego trzeba przeciwko nim energicznie protestować.

Zapewne, nie doszliśmy może w pracy społecznej do tak wspaniałych rezultatów, jak niektóre inne narody, ale też nie mamy za sobą tak długiej wprawy wolnego, państwowego bytu, ani tej samej liczebności i zamożności, ani takiego, na wszystkie warstwy rozlewającego się, upowszechnienia elementarnej kultury.

A pomimo tego, pomimo jedenastoletniej zaledwie państwowości, zahamowanej tak długo oświaty i ciężkiego kryzysu gospodarczego, jakże wiele zrobiliśmy i robimy!

Że instynkt społeczny istnieje, więcej, że istnieje w masach szerokich, tego dowodem jest rozrost różnych stowarzyszeń, walczących nieraz z ciężkimi warunkami bytu, a jednak rozwijających się doskonale i tworzących własne instytucje.

Jednym z tych stowarzyszeń młodych, a idących z całym rozmachem, jest „Rodzina Policyjna“.

Przyjemnie było patrzeć na uczestniczki odbytego w ubiegłym tygodniu walnego zjazdu „Rodziny“. Duża sala Stow. Urzędników państwowych wypełniona, a przecież znalazły się w niej tylko delegatki oddziałów i członkinie głównego zarządu. Prawie tłum.

Otwarcie zjazdu odbyło się bardzo uroczyście, w obecności p. Marszałkowej Piłsudskiej, przedstawicieli władz, policji, delegatek pokrewnych ideowo stowarzyszeń, gości i prasy.

Przewodnicząca głównego zarządu, p. Małszewska, położyła w swem przemówieniu główny nacisk na program społeczno-ideowy „Rodziny Policyjnej“.

Jakże działało, jaką linię pracy wytknęło sobie to młode zrzeszenie, które, istniejąc zaledwie dwa lata, wykazało w swem sprawozdaniu kasowym milion i trzysta (bez paruset złotych) tysięcy obrotu, pokryło siecią swych kół cały kraj i potrafi gromadzić fundusze na swoje cele?

Obok programu ideowego, pracy i życia dla Państwa i jego celów, energiczne panie, twórczynie „Rodziny Policyjnej“, postawiły na pierwszym planie to, co najwięcej obchodzi, boli, lub wzrusza i raduje wszystkie ich członkinie: sprawy wychowania, otoczenia opieką, kształcenia i leczenia dzieci. Przedszkola, bursy, świetlice, kolonje letnie, to najbardziej żywa, praktyczna, realna strona życia matek, które nie dziw, że chętnie garną się do takiej społecznej rodziny.

Pomoc ta obejmuje nietylko dzieci policjantów czynnych, lecz otacza opieką rodziny po zmarłych w czasie pełnienia ciężkich i tak niebezpiecznych wielokrotnie obowiązków.

28 przedszkoli, 22 kolonje letnie, 75 świetlic, oto bilans cyfrowy dwuletniej działalności towarzystwa. Nadto w Olinie, pod Warszawą, otwarty zostanie wkrótce sierociniec dla dzieci po zmarłych i poległych policjantach, na



Goście i delegatki.

co zarząd naczelny wyasygnował już fundusz 20 tys. zł.

Pozatem pomyślano i o matkach: dla przygotowania do pracy zawodowej żon, które pragną „dorobić“ coś do skromnego budżetu, zorganizowano 25 kursów kroju i szycia, 3 pracownie pończosnicze, 6 hodowli jedwabników, oraz biuro pośrednictwa pracy.

Nie zapomniano i o życiu towarzyskim; pokrywa się ono z okazałym szeregiem imprez (1214), w których liczbie są dorywcze, jak koncerty, przedstawienia i odczyty, są też i stałe, jak świetlice dla dorosłych, gospody-kawiarnie i t. p.

Program pracy przyszłej przedstawiony delegatom, po sprawozdaniach, w drugim dniu obrad zjazdu, rozwija dalej i szerzej początkowe założenia „Rodziny“.

Wobec tego, że dążenie do stworzenia przedszkoli zostało już w znacznej części zrealizowane i najmłodsi członkowie „Rodziny“ mają należytą opiekę wychowawczą, zarząd myśli teraz o starszych: o młodzieży w wieku szkolnym. Początek zresztą został już zrobiony: we wrześniu z. r. założona została w Złoczowie pierwsza bursa dla dzieci policjantów, służących w miastach, gdzie niema odpowiednich szkół. Zarząd Koła w Stanisławowie zakupił za sumę 13,500 dolarów budynki z ogrodem na bursę, a zarządy lwowski i lubelski również zebrały już na ten cel okazałe fundusze.

Naturalnie, że tak sprężysty zarząd główny uzyskał pełne absolutorjum i duże uznanie, poczem wybrano ponownie panie: pułkownicową Maleszewską na przewodniczącą, oraz Bochenkową, Dąbrowską, Fuchsovą, Kaufmanową, Misiewiczową, Nowodworską, Sobotową, Suską, Szopinę, Walczakową i Zagórską, jako członkinie.

Dobrze pracuje „Rodzina Policyjna“ i zapewne w przyszłości tak samo pracować będzie. Z jej rozwoju wyciągnąć można wniosek, że instynkt społeczny u nas istnieje i wymaga tylko odpowiedniego podłoża i kierunku.

Ważności takiej pracy w naszej budowie państwowo-społecznej dowodzić chyba nie potrzeba. Są to jej podstawowe komórki, z których najważniejszą jest wychowanie młodzieży. Drugą, o również ważkiej sile potencjalnej, jest rozwijanie kultury i społecznego poczucia u dorosłych i na tę część pracy zarząd Stow. „Rodziny“ zwróci napewno uwagę. Wszystkie organy służby państwowej powinny być związane silnym węzłem ze sprawami i z istotą państwa, i nie tylko sami pracownicy czynni, ale rodziny ich muszą wytworzyć w sobie poczucie tej jedności, oparte na zrozumieniu życia społecznego i państwowego.

Pomoc w wychowaniu dzieci, zarówno jak pomoc w różnych sprawach rodzinnych i życiowych, rozszerzanie horyzontów pojęciowych przez uświadczenie w życiu społecznym i państwowym, to najlepsza droga do stworzenia kadr silnych, inteligentnych, w każdej dobie pewnych pracowników. Stowarzyszenia, podejmujące taką działalność, spełniają trwałe i piękne zadanie!

Natalja Jastrzębska.



Przedszkole w Bydgoszczy.

Z TEATRÓW

TEATR NOWY.

„Pod falami“ — sztuka w 4-ech aktach Jana Adolfa Hertza.
Reżyserja Biegańskiego. Dekoracje Drabika.

Walka namiętności z obowiązkiem — to konflikt zazwyczaj zazdrośnie ukrywany w życiu, wstydliwie i niechętnie stosowany w teatrze. Czyżby był mało efektowny, czy zbyt pospolity, że tak skwapliwie przechodzimy nad nim do porządku dziennego? Nie, może jest raczej nierozwiązalny. To znaczy, że, rozplątując go, zadzierzgujemy jednocześnie tysiące innych, drobniejszych węzłów, splatających się w morderczą sieć, która nie zabija odrazu, ale powoli dusi.

Niedawno w tym samym Nowym Teatrze kazano widzom zastanawiać się nad pytaniem, czy mąż i ojciec „ma prawo odejść“ w imię niespełnionych wobec siebie samego obowiązków normalnego wyżycia się. Bohater sztuki Hertza znajduje się w szczęśliwszem położeniu. Nie jest parjasem, ale bóstwem swej rodziny. To ciepło domowego ogniska, te dymy kadzidel rozleniwiają fetysza. Z artysty-mocarza powoli robi się wygodny filister. Aż tu nagle przypadek stawia na jego drodze cudziwczynę. Pianistka z bożej łaski, przytem uosobienie urody i wdzięku dziewczęcego. Pan Stefan jest w wieku niebezpiecznym. Druga wiosna w życiu mężczyzny bywa zwykle burzliwsza od pierwszej. U Stefana wybucha ona tem gwałtowniej, że wiąże on z nią możliwość swego twórczego odrodzenia się. To jest motyw bądź co bądź przekonujący. Ale nie wystarcza on do przekreślenia wszystkich skrupułów rozkochanej w artyście dziewczyny. Wypali je dopiero płomień namiętności.

Ale gdy Marja gotowa już jest na wszystko, kiedy ma się stać „to najgorsze“, Stefan się cofa. W imię czego? czy w imię budzącego się sumienia? Nie! pod wpływem perswazji przyjaciela. Autor niechętny wydał tak zwanej „męskiej woli“ świadectwo ubóstwa.

Zarazem jest to, bodaj, że najslabszy punkt w sztuce. Istotą dramatu jest walka, tutaj jej niema, a raczej usunięta została z pola naszego widzenia, rozgrywa się za kulisami naszej świadomości. Nie wiemy nawet, który z argumentów przyjaciela przeważał szalę decyzji Stefana. Marja odchodzi, — jedyny człowiek naprawdę skrzywdzony — a po jej odejściu powierzchnia życia rodzinnego wygląda się, jak morze po bu-

rzy. „Pod falami“ rozegrał się dramat ludzi szlachetnych, przynajmniej taka była intencja autora. Rozstrzygnął go w duchu nakazów katechizmowych. Szkoda, że sprawność artystyczna nie zawsze stała na wysokości jego ideałów etycznych.

Autor miał szczęście do aktorów. Rzadko która sztuka odegrana była z taką precyzją i starannością.

Dulębianka ze szlachetną dyskrecją odtworzyła momenty wewnętrznej męki i tłumionej rozpaczycy u żony Stefana. Górczyńska miała może zamało siły na bohaterkę, ale dosyć wdzięku i urody na miłośnicę. W Różyckim imponował raczej nadmiar zdrowia fizycznego, niż duchowej wrażliwości. Świetną figurę dziadka stworzył Gawlikowski. Jasińska starała się, jak mogła, zestarzeć w roli rybaczkii Katarzyny, a mały bąk, jako najmłodsza latorośl Stefana, grał „jak stary“.

Burza Drabika wywoływała wrażenia tak namacalne, że sporo osób wybierało się nagwałt do szatni po parasole.

•S. P. O.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

KOLONJE LETNIE DLA PRACUJĄCYCH KOBIET.

Koło Polek organizuje w r. b. kolonję dla pracujących kobiet z inteligencji. W Gródku nad Bugiem, w pięknej, lesistej miejscowości może za bardzo przystępną opłatą, spędzić urlop, lub dłuższe wakacje 20 osób, poczynając od 15 maja. Obok tej kolonji dla dorosłych, urządzona zostanie druga dla dzieci, od lat 5-u, także w liczbie 20. Malcy mieć będą zapewnioną opiekę wychowawczą i zdrowotną i przebyć mogą na kolonji całe lato. Dla dzieci w wieku szkolnym zapewniona jest od połowy maja możność chodzenia do szkoły powszechnej, znajdującej się w Gródku.

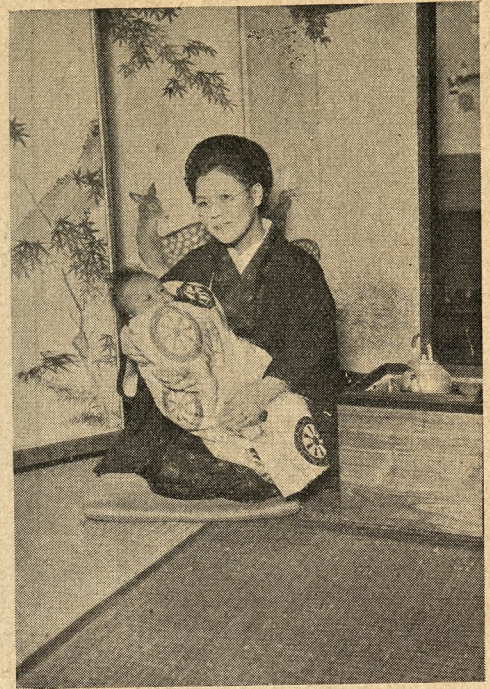
Bliższych szczegółów udziela zarząd Koła (Plac Zamkowy 9).

MASZYNA-AUTOMAT.

Praktyczną nowość wprowadzono obecnie w Niemczech. Kto nie ma własnej maszyny do pisania, może wejść do sklepu z automatami maszynowymi. Po wrzuceniu monety 10 fenigowej, można napisać 1000 słów.



Za kilka groszy 1000 słów.



Najmłodsze niemowlę cesarskie.

ŚLONECZNA KSIĘŻNICZKA.

Cesarska rodzina japońska od kilku lat naprożno oczekuje następcy: w zeszłym miesiącu cesarzowa Nagako powiła znów córeczkę. Małeńka księżniczka zostanie w najbliższym czasie „przedstawiona duchom przodków“. Ceremonja odbywa się w świątyni, gdzie przechowywane jest święte zwierciadło z obrazem bogini słońca.

Księżniczka Atsuko-Jori zapowiada się na dzielną niewiastę, zdrową i wesołą. Cesarzowa Nagako karmi sama niemowlę w ciągu dnia, w nocy zaś mamka, pani Tei-Kitano, żona pułkownika, pochodząca ze starego rodu Samurajów.

KOŁO PAŃ OBRONY PRZECIWGAZOWEJ W CZĘSTOCHOWIE.

Na terenie Częstochowy daje się zauważyć duże zainteresowanie obroną przeciwgazową wśród wszystkich warstw społeczeństwa kobiecego. Stowarzyszenia urządzają dla swych członkiń kursy przeszkolenia. Kurs taki odbył się już w „Rodzinie Wojskowej“, licząc około 100 słuchaczek; obecnie Zw. Pracy Obywatelskiej Kobiet i „Rodzina Policyjna“ urządzają kurs dla swych członkiń.

Pozatem L. O. P. P. organizuje, pod kierunkiem insp. por. Tokarskiego, szereg kursów dla nauczycieli szkół średnich i powszechnych, w których przeważają kobiety. Kurs instruktorów I kategorii ukończyła jedna kobieta.

W marcu powstała organizacja Koła Pań przy Komitecie Budowy Cyw. Szkoły Obrony P. G. (oddział w Częstochowie). Do zarządu weszły panie: starościna Wanda Kühnowa — przewodnicząca, Zofja Brykalska, instruktorka — wiceprzewodnicząca, Strokołowska, Z. Herrowa, Gina Baranowska, Przedzińska, M. Bratkowska, prezes Komitetu L. O. P. P. i prezes Czerwonego Krzyża, jako członkowie zarządu.

Koło liczy zgórą 100 członkiń, wpłacających 50 gr. mies. Prócz zbierania funduszu na budowę szkoły, Koło ma na celu szerzenie uświadczenia obrony przeciwgazowej wśród kobiet; w tym celu urządza odczyty publiczne. W ciągu marca odbyły się trzy odczyty, wygłoszone przez instr. Z. Brykalską p. t.: „Rola kobiety w obronie przeciwgazowej“.

W maju Koło Pań przystąpi do prowadzenia tygodniowych kursów.

Z radością należy powitać zrozumienie znaczenia prac przygotowawczych obrony wśród kobiet, w myśl zasady, że silna organizacja obrony zabezpiecza nie tylko podczas wojny życie tysięcy ludzi, lecz zabezpieczyć może i przed... wybuchem wojny.

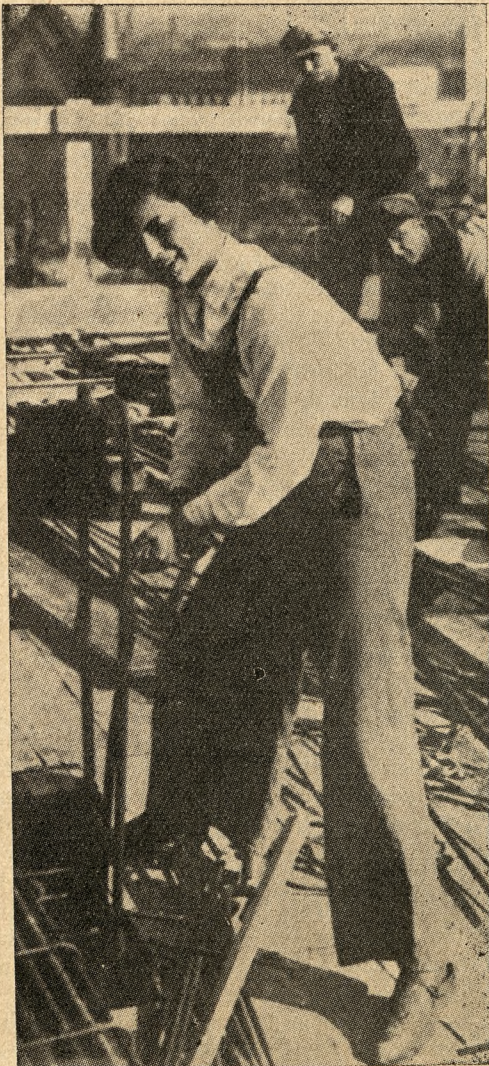
5 MAJA W PARYŻU.

Oryginalny i miły obchód rocznicy 5 maja urządziło stowarzyszenie „Les Amis de la Pologne“ w Paryżu: galową audycję radjofoniczną z wieży Eiffla. Na program złożyły się przemówienia ambasadora Chłapowskiego i deputowanego Serrot, wiceprzewodniczącego stowarzyszenia, poczem odbył się koncert, w którym wziął udział chór polski i polscy soliści. Wykonano utwory Szopena i melodie polskie, a jedna z artystek teatru Odeon deklamowała wyjątki, tłumaczone z arcydzieł naszej literatury.

Uroczystość, tak różną od zwykłego szablonu obchodu w dusznej sali, dla ograniczonej liczby osób, a przeciwnie, dającą możliwość uczestniczenia w niej najszerszym masom, powinna należeć z wielkim uznaniem. Znać tu pomysłówą inicjatywę naszej przyjaciółki „Różyeczki“.

MIŁO BUDOWAĆ WŁASNY DOM.

Drożyzna mieszkań i brak ich nie jest polską specjalnością, lecz i lepsza zaradność na krytyczny stan rzeczy też nie u nas się rozwija, niestety. Zagranicą zato buduje, kto żyw.



Pani architektka na budowie.

Świeżo stanął w Hamburgu wielki dom kobiet, wzniesiony z kobiecych kapitałów i kobiecimi siłami architektonicznymi. Siedmiopiętrowy gmach, o trzech pawilonach, stoi w ogrodzie. Największa ilość mieszkań to jedno lub dwu pokojowe z kuchnią, wygodne „kawalerki“ dla kobiet pracujących. Poza to mieści się w tym gmachu kasyno dla nieprowadzących własnego gospodarstwa, biblioteka, sala koncertowa, salony przyjęć, pracownia, gdzie można szyć, i tarasy dla kąpieli słonecznych.

PANI KAPITAN STATKU.

Panna Gudrun Trogstadt, która niedawno zdała egzamin na kapitana okrętu, zakupiła teraz statek pasażerski „Helgoy“, który będzie obwoził wycieczkowiczów po jeziorach norweskich. Młoda komendantka, obok przyjemności, wykonywania ulubionego zawodu i zasługi pionierstwa w tej dziedzinie, będzie miała z niej zupełnie przyzwoite zyski.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

W polityce europejskiej największe zainteresowanie wzbudzają obecnie dwa zagadnienia, które będą się rozstrzygały w maju: sesja Rady Ligi Narodów i wybory Prezydenta Republiki francuskiej.

Na sesji Ligi omawiana będzie sprawa Anschlussu, większą jednak sensację od samej sesji wzbudziła propozycja rządu włoskiego: zwołania Komisji, kontrolującej finanse Austrii. Mała ta republika, która w chwili swej organizacji znalazła się zupełnie „bez środków do życia“, zmuszona była zaciągnąć pożyczkę za pośrednictwem Ligi, ale przy dawaniu postawiono warunek: w razie potrzeby, zwołana zostanie Komisja kontrolująca i jeśli znajdzie finansowości austriackiej coś do zarzucenia, wyznaczy wtedy komisarza generalnego „dla zabezpieczenia interesów wierzycieli państwa austriackiego“. Nietrudno pojąć, że finansowości każdego państwa można znaleźć „coś do zarzucenia“, o ile więc dojdzie do zwołania tej Komisji, a zwłaszcza do wyznaczenia komisarza kontrolującego, sprawa Anschlussu jest na długo przesądzoną w sensie ujemnym. Prasa niemiecka podnosi już z tego powodu wielkie larum, a choć nie wiadomo, czy dojdzie aż do tak radykalnego środka, ale stronnicy Anschlussu przeżywają przykry moment.

Wybory Prezydenta we Francji zaważą, naturalnie, poważnie na polityce Europy. Dotychczas wysuwane są trzy najpoważniejsze kandydatury: Briand, dotychczasowy prezydent, Paweł Doumergue i prezes Senatu, Leon Doumer. Wybór Brianda oznaczałby bezsprzecznie wkroczenie Francji na drogę jego polityki pacyfikacyjnej i paneuropejskiej, nadając jednocześnie Francji, wybitne znaczenie w tej polityce. Stan zdrowia Brianda jest jednak taki, że wymaga specjalnych starań i kto wie, czy nie uniemożliwi mu tego stanowiska. Do dziś nie wiadomo jeszcze, czy obecny prezydent Doumergue zgodzi się na postawienie swej kandydatury. Byłaby ona wyrazem utrzymania dotychczasowego kursu polityki francuskiej. Podobne stanowisko zajmuje pan Doumer, zwalczany energicznie przez radykalną lewicę.

Powódź w Wilnie, która w ostatnich dniach kwietnia budziła tyle obaw, już minęła, wezbrane wody Wilji opadły; nie minęły jednak, niestety, skutki tej katastrofy. Owocem jest kilkadziesiąt zniszczonych domów i paręset rodzin bez dachu w samym Wilnie i najbliższej okolicy. Poza to powódź wyrządziła znaczne szkody w gmachach, zalewając podziemia katedry, wielki most Zwierzyniecki, budynki uniwersyteckie na Zakrecie, gdzie zniszczyła w ogrodach wiele roślin egzotycznych.

Dla przyjęcia z pomocą ofiarom powodzi utworzony został Komitet obywatelski, na którego czele stanął generał Żeligowski. Ofiary napływają z całego kraju. Są one tem potrzebniejsze, że po Wilji wylała teraz Dźwina. Połowa miasta Drui jest zalana, w tem przeszło 200 domów, kościoł i wielka mleczarnia spółdzielcza; powódź rozszerza się na okolicę.

NASZA MÓWNIKA

Luka w wychowaniu młodzieży.

W wychowaniu młodzieży jest jedna fatalna luka: wychowanie seksualne. Rozumiem przez to stały kierunek, nadawany przez starsze pokolenie młodszemu, wstępującemu w szranki życia. T. zw. „uświadomienie“ nie jest edukacją. Jest to wstęp, po którym nie następuje nic. A młodzież, zanim sobie sama coś stworzy i wyrobi, błądzi samopas, niekiedy w sposób, kompromitujący całą przyszłość. Dziewczęta giną, chłopcy się marnują, to rzuca się w oczy na każdym kroku.

Pedagogowie, dość niechętnie potrącający o te sprawy drażliwe, zaczynają jednak się odzywać. Jedni zwracają się z admonicją do rodziców o zaniebdanie pod tym względem wychowania w domu, o nieumiejętność zyskania zaufania, o negatywny wogóle stosunek do życia seksualnego młodzieży. Drudzy żądają ingerencji szkoły w te sprawy, proponując wykłady, odczyty, pogadanki.

Sądzę, że jest tu pewne przeoczenie odnośnie do psychologii dojrzewającej młodzieży. Ani rodzice (nawet najidealniejsi), ani zespół nauczycieli, czy wychowawca szkolny, nie będą wskazanymi przewodnikami dzieci i młodzieży na tym terenie. Pomiedzy dziećmi i rodzicami drażliwość jest tak wielka, że obie strony nie mogą przemóc wstrętu do mówienia o tem spokojnie: przecie i dorośli nie zwierzają się z bardzo intymnymi sprawami ludziom, z którymi żyją w codziennem obcowaniu. Tu dziecko przeczuwa w rodzicach urodzonych wrogów swojej, dla nich zawsze przedwczesnej, dojrzałości; rodzice czują pewne krytyczne nastawienie wobec płciowości w pierwszych chwilach jej obudzenia się u wyrostka, który ostrze swych buntów skierować może przeciw nim samym.

Wszelkie oddziaływania zbiorowe, odczyty i t. p., pouczenia w szkole są też przeciwwskazane. Wśród słuchaczy zawsze będzie materiał b. niejednorodny, a do głosu dojdą jednostki najgorsze, i jest duże prawdopodobieństwo zneutralizowania przez nie dodatniego wpływu. Tu oddziaływanie musi być par excellence indywidualne. Powinno polegać na szczerem i otwartym wypowiedzeniu się pouczanego, nie uczącego tylko. Drażliwość wobec przedstawiciela władzy szkolnej jest nazbyt wielka.

Że jednak nieuświadomienie seksualne wobec bardzo dziś wczesnego budzenia się instynktów, w chwili zupełnej niedojrzałości umysłowo-moralnej, jest poprostu katastrofalne, proponowałabym obmyślenie (poza szkołą i domem) ratunku i pomocy, z jaką powinni przyjść starsi młodszym, fundując „poradnie dla młodzieży“. Ludzie mający specyficzny dar zrozumienia i wmyślenia się w nastroje młodzieży w okresie nurtujących ją prądów instynktu rozrodczego, pouczaliby, ratowali, kierowali dobrowolnie, piśmiennie lub osobiście, zgłaszając się do nich młodzież. Dyskrecja absolutna, nawet wobec rodziców, brak wszelkiego przymusu, rozporządzanie środkami materialnymi na poratowanie delikwenta, oto w zarysach przesłanki do stworzenia owych „poradni“. Plan szczegółowy byłby do obmyślenia i ustalenia przez czynniki miarodajne. M. B.

Nierealny budżet (w odpowiedzi p. St. Cz).

Artykuł „Ile wydawać“ jest bardzo na czasie, ale wielka szkoda, że tyle budzi wątpliwości, że niewiadomo, na czem polega jego wartość. Uwaga Redakcji, że niewiadomo, o jaką liczbę osób chodzi, jest słuszna, ale też nie stawia pytania, na ile osób ma starczyć 3 zł. dziennie na życie, co wyniosłoby 90 zł. miesięcznie, gdy autorka artykułu przeznaczą na ten cel 180 zł. Suma wydatków, wskazanych przez autorkę, wynosi: 60 plus 40 plus 180 plus 30 plus 40 plus 10 plus 10 plus 10 równa się 380 zł., a na początku figuruje suma 300 zł. Jak to pogodzić?

Przypuszczając, że owych „paru członków rodziny“, to

będzie tylko 2 osoby (bo trudno sądzić, żeby 300 zł. miało wystarczyć na więcej), rozważmy poszczególne pozycje, bo przecie autorka mówi, że „nie jest niemożliwe zastosowanie się do tego, co się ma“.

Z ogólnikowych pozycyj trudno zmiarkować, na co one mają wystarczyć, a więc rozważmy poszczególne: Mieszkanie z przejazdami 100 zł. Za tę sumę można mieć pokój na 2 osoby i w Warszawie. Życie za 6 zł. dziennie na 2 osoby, bardzo bardzo skromne, jest możliwe. Opał, światło w zimie 30 zł., a w lecie czyż wcale go nie potrzeba? Ubranie, obuwie, bielizna, reperacje po 20 zł. na osobę musi wystarczyć, tak samo po 5 zł. na mydło i pranie, ale 10 zł. na drobne wydatki i dziennik? „Kurjer Warsz.“ kosztuje 7.50, więc na drobne wydatki zostaje 1 zł. 25 gr. na osobę t. j. 4 gr. dziennie!?

Wydatki nieprzewidziane i ubogim (!) (słuszna pozycja) 10 zł. Co ma być w tych wydatkach? Czy choroba, czy kąpiel, czy tramwaje, czy książka, kino, szczotka, garnuszek lub szklanka... czy to też wszystko za 5 zł. miesięcznie na osobę??

O teatrze, wyjazdach i innych przyjemnościach nie wspominam, bo w takim budżecie niema na nie miejsca; ale czy budżet według układu p. S. Cz., w którym nb. 300 = 380, rzeczywiście da się w życiu zastosować, śmiem bardzo poważnie wątpić.

Zofja K.

Wychowanie dzieci (w odpowiedzi p. „Rozgoryczonej S. F.“).

Pisze Pani, że chłopiec jest poważnie zagrożony chorobą kłamstwa. Radziłbym, by Pani kary w ogóle zaniechała, a różgi w szczególności. Kary cielesne powodują u niektórych dzieci tłumioną złość, zawiść, chęć zemsty, wogóle paczą charakter. Radziłbym najpierw przekonać się, co skłania go do kłamstwa: czy obawa kary, czy chęć naśladowania drugiego chłopca, czy też przyzwyczajenie. Jeśli obawa kary, to należy, uprzedzając jego wykrety, rzec mu: „wiem, że to ty zrobiłeś, ale ja już nie będę ciebie karała różgami, czy kłeczeniem, tylko proszę na przyszłość zawsze prawdę mówić, nie robić źle, a gdy już zrobiłeś, przyznać się i poprawić“.

Rozmowy w tym duchu prowadzić nie dłużej, niż kilka minut, i zaraz przejść na inny temat.

Dalej trzeba przyzwyczać chłopców do grzecznego mówienia „dzieńdobry“ i „dobranoc“. Np. udaje się chłopiec na spoczynek, proszę objąć go za szyję i: „byłeś dzisiaj dobry, więc cię uściskam i życzę ci dobrej nocy, śpij spokojnie; dziś ja cię żegnám, a jutro, gdybym zapomniała, to ty mi powiesz dobranoc, dobrze?“. Chłopiec będzie skonsternowany, czując, że nazbyt dobry nie był tego dnia (trzeba wybrać dzień o możliwie najmniejszej ilości przekroczeń); będzie stopniowo staczał ze sobą walkę i ziarno pocznie kiełkować.

Gdy się następnie przyzwyczają do tego, wtedy w razie jakiegoś przewinienia, można ich ukarać nie dopuszczeniem do tego pozdrowienia, motywując tem, że nie zasłużyli na nie. Proszę mi wierzyć, że, podobnie jak u starszych odmówienie podania ręki równa się policzkowi, tak i u dzieci podobna kara jest w ich mniemaniu straszna. Nie jest to frazes. Bardzo rzadko, jednak gdy coś podobnego stosuję u siebie, to chłopcy (pięć i sześćioletni) są ogarnięci taką rozpaczą, że najwyżej pół godziny ich tak mogę wytrzymać, nawet u trzyletniej córeczki osiągam pożądaný skutek; dodam, że są to dzieci nieprzezwalone, raczej o temperamencie koników stepowych.

O ile Sz. Pani zechce zastosować się od moich rad, proszę po pewnym czasie krótko opisać skutek, mam bowiem jeszcze kilka więcej radykalnych (bez kary cielesnej) sposobów pedagogicznych.

B. W.

STATYSTYKA NIEPOROZUMIEN

Nie mogę się doprosić... Formułka ta, typowo zresztą męska, rozlega się często w każdym domu. Kobieta nie ma u kogo się dopraszać — zarządza lub wykonywa sama.

Rzadko są to sprawy ciężkiej wagi. Malkotentom i petentom niezaspokojonym chodzi najczęściej o drobiazgi, nietrudne do zmontowania, których brak lub nieuwzględnienie dokucza jednak, jak niedostrzegalne drzazgi w żywej skórze.

Nie mogę się doprosić: żeby nie ruszano zapalek ze stolika; zamykano drzwi do kuchni; dawano mocniejszą (lub słabszą) herbatę; nie wylewano jej na spodek; nie zmuszano do jedzenia legumin; nie hałasowano podczas drzemki; nie ruszano papierosów z biurka; nie chowano aktualnie czytanej książki; przyszywano guziki do koszuli; czyszczono porządnie buty; wyrzucono z pod drzwi zawadzające krzesło...

I co jeszcze? Każdy dom może uzupełnić lub zmodyfikować ten spis własnym repertuarem.

Oczywiście, zagadnienie da się zrównoważyć całym szeregiem kobiecych *contra* protestów na nutę: Tyle razy prosiłam, żebyś: nie trzaskał drzwiami; nie wsadzał namydlonego pendzla w proszek do zębów; nie rozrzucał niedopałków; wylewał po sobie wodę z miednicy, i t. d., i t. d.

Inicjatywa do likwidacji tych chronicznie opornych kwestyj pożycia domowego powinna wyjść jednakże od kobiety. Ona jest zarówno mechanikiem, jak motorem czynności domowych; instancją ustawodawczą dla służby i dzieci. Wrażliwsza i bardziej intuicyjna w wyczuwaniu nastroju, panującego w domu. Lepsza organizatorka. Cierpliwsza, inteligentniejsza i pomysłowsza w zakresie tych spraw.

W dbałości o spokój swój i innych, kobieta właśnie powinna nie ustawać w trudzie wychowywania męskich równoważników otoczenia: brata, męża, syna, aby nie ponosić nieustannie dokuczliwych skutków trudnego w pożyciu, zawziętego, nieporządnego, lub wybuchowego charakteru.

Jako wstęp do tej pracy, konieczne jest przeświadczenie, że się samej jest w porządku i że się zrobiło w miarę możliwości wszystko dla zlikwidowania codziennych drobnych niedomagań.

Wynikają one przecież nie ze złej woli, ani niedołęstwa, tylko z bagatelizowania słusznych nieraz pretensyj. Ustawicznie wznawiane, nie sprawiają one większego wrażenia, niż hałas uliczny, brzęczenie muchy, albo inne zjawiska, z którymi się już zżyły nasze władze słuchowe. Mimo to — jątrzą. Dokuczają. Zgęszczają atmosferę, która od czasu do czasu domaga się wyładowania. I w rezultacie — psują życie.

Jak temu zaradzić?

Trudno dawać jakieś recepty w sprawie tak skomplikowanej i od wielu czynników, wychodzących poza jej nawias, zależnej. Możliwe jednak spróbować zabawnego i nietrudnego eksperymentu.

Sporządzić sobie spis wzajemnych pretensyj. I przez jakiś czas notować dzień po dniu wszelkie drobne tarcia, z uwzględnieniem zarówno ich przyczyn, jak skutków. Zebrany w ten sposób materiał statystyczny rozpadnie się wyraźnie na kilka grup, do których podejście będzie się domagało wybitnej indywidualności.

1. Tarcia bezpodstawne i nieistotne, których przyczyn należy się doszukiwać w przemijającym spleenie (kłopoty, pogoda), na który wogóle poradzić nie można, o ile niema w tem najmniejszej naszej winy. Grupą tą wogóle nie warto się przejmować, bo złożą się na nią fakty przejściowe, które, jak nieoczekiwanie na horyzoncie się pojawiły, tak znikną. Jedynie *objawy* zbyt przykre, nieproporcjonalnie gwałtowne, będą się domagały obmyślenia sposobów ich złagodzenia — pracy na dłuższą metę.

2. Nieporozumienia, pozornie błahe, mocno jednak tkwiące w samym charakterze lub defektach organizmu danego osobnika: wybuchowości, zawziętości, gderliwości (temperament z gatunku „piły“), chronicznego pesymizmu, wreszcie rozstroju nerwowego i innych dolegliwości fizycznych.

Do tego działu nieporozumień musimy podejść z dużym ładunkiem dobrej woli i cierpliwości. Opłaci się nawet sięgnąć po środki, dyktowane przez typowo kobiecy instynkt samozaparcia, w wypadkach zmuszonej konieczności stosowania przemyślanych środków pedagogicznych, lub pielęgnacji niedomagań fizycznych. Tak, czy inaczej, sprawa jest poważna i, prześlepiona, może mieć nieobliczalne skutki dla całego życia.

3. Pretensje rzeczowe i uzasadnione, czerpane z uwzględnionego na początku spisu dokuczliwych, obrzydzących życie, drobiazgów. Dostrzeżenie, przyłapanie w locie i wynotowanie tego materiału wymaga dużej dozy spostrzegawczości, samokrytycyzmu i szczerzej intencji usunięcia go z naszego życia.

Czynność ta powinna być potraktowana z jednej strony b. poważnie, z drugiej — z całym dobrodziejstwem t. zw. poczucia humoru. Szczególniej faza obserwacji i samokontroli. Materiał ten jest bowiem sypki, płynny, lotny i prawie że niedostrzegalny golem okiem. Składa się on z nieuchwytnych cząsteczek specyficznej dla naszego domu atmosfery. Orientacja w niej jest równie trudna, jak zdanie sobie sprawy z procesu oddychania lub krążenia krwi. Rzeczą oczywistą jest konieczność sprawiedliwego i uczciwego rozłożenia tych grup równolegle z uwzględnieniem buchalteryjnego podziału: *ma* i *winien*.

Krótkowidztwem i nieuczciwością, lub nierozumną manją samozaparcia byłoby przypisywanie inicjatywy wyłącznie jednej stronie. Najprościej zaś i najpraktyczniej będzie rozrachować się najpierw z własnym sumieniem. Może w naszym charakterze, wychowaniu, zdrowiu, braku kompetencji, tkwi niezdrowy zczyn starć i nieporozumień? Może dotychczas nie zrobiliśmy nic, albo bardzo niewiele dla ich usunięcia? A może wina tkwi wyłącznie w tym właśnie niedostrzeganiu, lub bagatelizowaniu cudzych praw, upodobań, bezgrzesznych, nieszkodliwych przyzwyczajęń i nałogów?

Jak w tym ostatnim, tak i w poprzednich wypadkach najłatwiej będzie zacząć sumienną robotę od najłatwiejszego, bo konkretnego odcinka. Wyćwiczyć w sobie w słabym stopniu posiadany dar obserwacji i umocnić lojalne postanowienie naprawy szwankujących pozycji domowego życia. Po tych niezbędnych, podstawowych wyrównaniach przyjdzie kolej na rzeczy ważniejsze: tkwiące w nas wewnętrzne przyczyny wzajemnych zdraśnięć i jątrzeń.

Po tym akcie bezstronnego wyeliminowania swego udziału z całej sprawy, przystąpimy do obciążenia konta naszych partnerów w rozgrywce o — szczęście — a choćby spokój i jaki taki ład życiowy. Jednym słowem, o osiągnięciu maksimum dobrego w pożyciu.

Sprawa rozgraniczenia tego *winien* i *ma* należy w tym wypadku do najtrudniejszych. W zatargu, wybuchu, nawet drobnej sprzeczce trudno przychwycić i trafnie ustalić moment prowokacji. W rezultacie okazuje się zwykle, że „królik pierwszy zaczął“ — został pożarty — ale przecież z własnej winy? Poza tym prapoczątkiem zatargu, musimy jeszcze uwzględnić tempo rozgrzewania się — na ten moment przynajmniej — przeciwników. Może właśnie, choć byliśmy sprowokowane — podjechałyśmy za wysoko w tej iście pokerowej rozgrywce starcia. Może dałoby się ono zlikwidować już w najpierwszej chwili powstania drażniącego gestu, słowa, intonacji?

W wypadku wytworzenia się dokoła nieporozumienia atmosfery afektu — sprawiedliwość nasza musi poddać się trudnej próbie. Dlatego zarówno rozpamiętywanie, jak notowanie faktów powinno mieć miejsce po ich dokładnym ostygnięciu. Przypisując jednak — po bezstronnym rozważeniu faktu — winę kontrahentowi, pamiętajmy, że powstaje przed nami pozornie tylko łatwiejsze zadanie. Bo łatwiej jest przeprowadzić, w sposób dla otoczenia niedostrzegalny, meljoracyjną akcję w obrębie zarówno własnego „ja“, jak i wszelkich od nas zależnych okoliczności — niż konspiracyjnie wejść na cudzy teren i działać na nim. Dlatego też należy zachować umiar w braniu odpowiedzialności za cudze winy. Ten odruch altruistyczny może być podświadomym ułatwieniem sobie całej sprawy, dzięki jednak tkwiącej w samym założeniu omyłce — nie da żadnych wyników.

Jakiegokolwiek skutki mogłaby mieć taka niewinna — w samotności lub porozumieniu podjęta — próba piśmiennej (lub w wypadku dobrej pamięci — wewnętrznej) rewizji domowych nieporozumień jedno jest pewne: nie podejmujemy jej nigdy — a mogłaby ona rozwiązać konflikty, zdawałoby się — bez nadziejne.

W. Borudzka.

ZŁOTY ŚRODEK

Planowość i organizacja w stosunkach towarzyskich, jak to zaleca p. N. J. w swoim artykule: „Niespodzianka czy umowa“ („Bluszcz“ Nr. 11) — to jednak nie wszystko. Jeżeli chcemy być zawsze mile widziani, konieczny jest jeszcze wgląd, wczucie się w życie tych, których chcemy swoją obecnością „uszcześliwić“. Nawet zapowiedziana wizyta, i to miłych i pożądanym gości, niezawsze będzie na rękę, jeżeli odwiedzający jedynie swoje dobro i własną przyjemność będą mieli na uwadze.

Odbiegam na chwilę od swego tematu, chcąc zrobić małą uwagę pani Zofji. (opisanej przez p. N. J.), że z chwilą zainstalowania się czy to na wsi, czy dalej cokolwiek od jakiegoś ośrodka handlowego, *niedopuszczalne* jest wprost zabezpieczenie się w żywność, obliczoną ściśle na jeden dzień tylko. W warunkach takich, gdzie „miasto znajduje się o pięć kilometrów“ konieczny jest stały zapas przynajmniej dwudniowy, a nie zaszkodzi mieć w spiżarni cokolwiek więcej trwałej wędliny, jakąś puszkę tanich szprotek w oliwie, czy śledzi marynowanych i na dodatek trochę kruchych ciasteczek. Przecież to nie jest trudne do osiągnięcia i nie tak znów kosztowne, a wybawić może niejednokrotnie z wielkiego kłopotu, gdy się zjawią nieoczekiwani goście. Opinia zaś dobrej gospodyni zyska na tem wiele, tem bardziej, że będzie naprawdę zasłużona!

Zwyczaj, praktykowany przez niektórych gości, obdarzania gospodarzy upominkiem, jeśli wychodzi poza zakres kwiatów czy cukierków, przybierając postać owoców, ciastek, parówek, czy innych zakąsek — jest może bardzo chwalebny, często jednak nader krępujący i niezawsze mile widziany, boć jest to do pewnego stopnia obniżenie (choćby myślą tylko) pojęcia o zapobiegliwości pani domu. Takie prezenty, nawet w czasach obecnych, t. j. zupełnie prozaicznych i skrajnie praktycznych, mogą uchodzić jedynie między osobami doskonale się znającymi i zaprzyjaźnionymi.

A teraz powracam do swego tematu; przytoczę dwa obrazki z życia w warunkach zupełnie odrębnych, z których, mam nadzieję, Szan. Czytelnicy bez dodatkowych objaśnień z mej strony, sami łatwo się zorientują, jak zaradzić temu, aby przysłowiowy „gość w dom“ z prawdziwego „tatarzyna“ stał się nam istotą, z Bogiem przychodzącą.

Oto czteropokojowe mieszkanie w śródmieściu, w oficynie, ciche i spokojne, zajęte przez starszą już osobę, odnajmującą jeden pokój dwu uczennicom wyższych uczelni, drugi — dwu urzędniczkom. Gospodyni, choć ma popołudniowe, biurowe zajęcie na mieście, utrzymuje się dzięki swym sublokatorom, którym przeważną część dnia poświęca. Do pomocy wzięła przychodnią dziewczynę, dobrą, ale jeszcze niewyrobioną, więc sama dojrzeć musi sprzątaniam, zakupowi prowiantów i wreszcie własnoręcznie obiad ugotować, bo wszystkie cztery panienki u niej się stołują. I życie jej upływa spokojnie, może cokolwiek zbyt jednostajnie, ale pogodnie.

Wtem pewnego dnia otrzymuje list od krewnych ze wsi z zapytaniem: „czy ciotuni nie zrobi różnicy, jeśli przez parę dni pobytu w mieście u niej się zatrzymamy?“ — Ależ, naturalnie, że nie! Bardzo prosi, wszystko na przyjęcie przygotowuje, z radością oczekiwać będzie tak dawno niewidzianych kochanych gości! Wszystko było obmyślane, ułożone, przygotowane, zapowiadało się cudownie!...

Otóż i goście, a z nimi razem, niestety, cały porządek w domu do góry nogami przewrócony!

Śniadanie, zwykle w stołowym pokoju spożywane, dziś miało być podane lokatorom do pokoju, bo stołowy służył przyjezdnym za sypialnię. Z konieczności musiało się „cokolwiek“ opóźnić, gdyż właśnie wtedy, kiedy z niem przez jadalnię przejść trzeba było, ktoś z gości wstawać zaczynał i w żaden sposób wtedy na przejście przez pokój pozwolić nie mógł. W pojęciu gości była to drobnostka, cóż znaczyły te parę spóźnionych minut, przecież na pociąg nikt się nie spieszył; ale że obie panienki - urzędniczki, nie chcąc się spóźnić do biura, wyszły bez rannego posiłku, to nikomu nawet przez myśl nie przeszło.

Tualeta skończona, śniadanie spożyte, rozpoczyna się nowy atak: „wszak cioteczka znajdzie dla nas chwilę czasu, pokaże nam, gdzie i co najlepiej się kupuje? takbyśmy chcieli ten czas wykorzystać, aby go jak najwięcej z drogą cioteczką przepędzić!“

Nie pomogą tu wykręty, cioteczka odmawiać nie potrafi; pokoje pozostaną gorzej sprzątnięte, obiad nieudolna dziewczyna byle jak upitrasa, a ona pójdzie biegać od sklepu do sklepu, aż wyczerpana zupełnie nad wieczorem do zwykłego zajęcia biurowego zasiądzie. I dziwi się, że cyfry skaczą przed oczami tak dziwnie, wcale się w równą rubrykę ustawić nie dadzą. Oby tylko zwierzchnik tego nie spostrzegł, to jakoś to będzie, pójdzie do domu, zaraz się położy i wypocznie sobie.

W domu niejedna zaległość się znalazła, trzeba ją było odrobić koniecznie przed pójściem na spoczynek; ledwo się trochę zdrzemnęła, a tu goście z teatru wracają, weseli, roześmiani, dzielą się wrażeniami; wykrzykników, opowiadania starcza do brżasku prawie; o śnie nikt nie myśli, przecież jutro trochę dłużej pospać można, do gospodarstwa wstawać nie trzeba.

A cóż cioteczka? Dla niej jutro urlopu niema, to dzień roboczy, jak każdy inny; i gdybyż tu tylko o nią chodziło, ale panienki!... Jedne wyczerpane biurową pracą i snu spragnione, drugie przygotowujące się do egzaminu, ciszy i spokoju potrzebujące. A dzień taki, jak dziś, powtórzy się jeszcze i jutro, i pojutrze, i przez parę następnych dni, boć z głębokiej prowincji nie przyjeżdża się do miasta na dzień jeden i pobyt taki wszechstronnie wykorzystać trzeba, bo nie po to się przyjechało, żeby cichy, domowy żywot prowadzić.

Biedna cioteczka! Całe szczęście jeszcze, że krewnych takich ma niewiele i że „panienki“ jej są wyrozumiałe i kwestji złych obiadów i zakłóconego spokoju domowego na ostrzu noża nie stawiają (narazie — powiedzmy). Czy długo im cierpliwości starczy, kto wie?... A co będzie, gdy straci sublokatorów, kto ją wtedy utrzyma?

A teraz uchylmy zasłony i zajrzyjmy letnią porę do dworu wiejskiego, dużego, niegdyś zasobnego — dziś, jak wszystkie dwory na wsi, katastrofalny kryzys gospodarczy przechodzącego, gdzie każdy litr mleka, każdy bochenek chleba, każda siła robocza musi być przeliczona, przekalkulowana, każda robota obmyślana i na gotówkę zamieniona. Ludzi, ten dwór zamieszkujących, cechuje staropolska gościnność. Dziś przyszły ciężkie czasy, z groszem każdym liczyć się trzeba, a jednak trudno odmówić miejskim krewnym gościnności. „Dał nam Bóg jeszcze trochę chleba, podzielmy się nim z bliskimi naszymi“. I idą zapraszające listy w świat. Dwór się zaludnia.

Jest kuzynka Ziuta ze swemi dziećmi; możliwe, że kiedyindziej i gdzieindziej są one przemile i grzeczne, tu jednak najnieznośniejsze, rozpuszczone; przyjechała na tydzień, już siedzi trzeci; bony ze sobą nie zabrała, dając jej na ten czas urlop, bo na wsi przecież dosyć mają posługi, to jej jaką dziewczynę wyznaczą, a sama zajmować się niemi nie może: jest tak przemęczona i wyczerpana, że musi koniecznie wypocząć (niewiadomo, po czym, bo cały rok niczem się nie zajmuje, a zimę spędziła na Rivierze), a nawet nosi się z zamiarem proszenia kuzynki o zaopiekowanie się jej maleństwami dłużej, bo lekarz bardzo jej zalecał parotygodniowy pobyt nad morzem, a z dziećmi przecież kuracji przeprowadzać niemożna.

Jest ciotka Mania ze swoją dame de compagnie, w „przejeździe“ tylko, bo lato spędzi u wód zagranicznych, a że się ten przejazd cokolwiek przeciąga „temu winni jedynie przemili i przegościnni gospodarze, od których tak trudno wyjechać. Stanowczo są za gościnnymi!“ Ciocia Mania, przeczna, przesympatyczna osoba, ale „osoba“ i to starsza, a wiek przecież ma też swoje prawa, o które upomnieć się potrafi szanowna ciotka. Towarzyszka jej we wszystkim naśladowuje swoją panią, bo tego wymaga dobry ton; w dodatku dwa razy dziennie prosi o litr mleka do mycia, w ostatecznym razie o serwatkę, „bo to konserwuje cerę, a na wsi,

gdzie tyle krów stoi w oborze, przecież mleka jest pod dostatkiem, napewno nie wiedzą nawet, co z niem robić!”

Jest syn jednego znajomego urzędnika, taki „pauvre diable”, któremu kiedyś wspomniano, aby dla wypoczynku przyjechał na wieś. Młodzieniec uważa za swój obowiązek bawić całe towarzystwo, usta mu się nie zamykają przez dzień cały — oprócz posiedzeń przy stole podczas posiłków, szczególnie przy śniadaniu, gdy zjawia się szynka gotowana, którą pasjami lubi. Wtedy zapada zbawienne, oczekiwane przez wszystkich milczenie, a szynka znika w przyśpieszonym tempie, choć młodzian ów stale utrzymuje, że do śniadań wcale nie jest przyzwyczajony, bo w domu nie jada ich zupełnie.

Zdawałoby się, że narazie już dosyć, ale gdzież tam! Jutro przyjeżdża na „parę dni” ciocia Frania z trzema dorosłymi córkami, a że jedna z nich jest zaręczona, „więc nie będą mieli kuzyni nic przeciwko temu, że p. X. dwa razy na tydzień będzie odwiedzał swą narzeczoną?” Choć to czas żniw, ciocia Frania jest szczerze przekonana, że cugowe konie nie mają nic do roboty i że im spacer taki na stację tylko dobrze zrobi. I jakiego tu daru wymowy trzeba będzie, żeby szanownej cioci wytłumaczyć, że cuganty już dawno chodzą w robocie od rana do samego wieczora; nie znaczy to jednak, aby po gości nie posyłało się zawsze chętnie i wtedy każda para robocza przeobrazi się w cugową.

Potem jeszcze przyjedzie kuzynka Ala z dwójkiem małych dzieci i z nianią, której opiece dzieci całkowicie są polecone, nikt się nimi zajmować nie będzie potrzebował. Pani domu pamięta tę nianię z roku zeszłego i poważnie się namyśla, czy nie zaproponować kuzynce własnej opieki nad jej maleństwami, aby tylko owa wiecznie kłótniwa, krzykliwa i we wszystko się wtrącająca pogromicielka niemowląt zdaleka pozostała. Ale kuzynka gotowa się obrazić, niech więc i tak będzie.

Wakacje — to okres współżycia rodziców z ich dziatwą szkolną, okres, na który radują się obie strony przez długie zimowe miesiące przymusowej rozłąki. I wreszcie nadchodzi ten upragniony czas, lecz jakże inaczej go sobie wyobrażali! Czyż możliwe jest w powyżej opisanym rozgardjaszu jakieś zbliżenie dzieci i rodziców, jakaś poufniejsza rozmowa, wyświeślenie jakichś niejasnych, więcej zawiłych problemów, do czego pewna cisza i możliwość skupienia są konieczne? Lato przemienie szybko, ale zamiast słońcem, cieniem żalu pokryje dusze, które tak do siebie tęskniły, a tak mało z wspólnego przebywania wyniosły!

Gdy do tych rozkoszy dodać jeszcze, że przez całe lato nic na właściwym miejscu nie leży: narpiastki, igły, nożyczki, pióra, atramenty, pisma, wszystko wszędzie i stale wędruje, że w ciszy i spokoju ani listu napisać, ani gazety przeczytać nie moż-

na — łatwo sobie wyobrazić, z jakim upragnieniem oczekują, zwykle gościnni gospodarze, dnia i godziny wyjazdu swych ciemiężców i z jaką rozkoszą wpatrują się w kurz, podnoszony na drodze kołami pojazdu, uwożącego ostatniego gościa!

Oto dwa obrazki, może zanadto przejawiskawione, jednak z życia wzięte i mogące służyć do poważnego zastanowienia się nad tem, jak robić nie należy. Ani w warunkach miejskich, ani wiejskich gość nigdy nie będzie przysłowiowym tatarzynem, jeżeli zechce się stosować nietylko, samolubnie, do własnych zachcianek, ale będzie się starał wniknąć w życie i warunki swych bliźnich, będzie umiał wynaleźć ten „złoty środek”, aby „wilk był syty i owca cała”.

A. D.

CHRABĄSZCZ MAJOWY I WALKA Z NIM

Taką już jest dola rolniczo-ogrodnicza, że trzeba stale mieć się na baczności, bo coraz to coś innego czyha na ciężko zdobyte owoce pracy.

W tym roku do rozmaitych kryzysów i nieurodzajów, trapiących rolników i ogrodników, przybywa nowy nieprzyjaciel.

Jest nim chrabąszcz majowy.

Sfery miarodajne prorokują w tym roku dużą obfitość tych szkodników.

Jeśli już ma spaść to nowe niepowodzenie na ludzi, pracujących na roli, to niech ich znajdzie przygotowanych do walki.

Wprawdzie w momencie, gdy się chrabąszcze pojawiają, to już lwia część szkód, jakie miały one zrobić, została dokonana; ale tępić je trzeba gwałtownie ze względu na zabezpieczenie się na przyszłość; no, i satysfakcja „ty mnie — ja tobie” też coś warta.

Przyjrzyjmy się najpierw szkodom, wyrządzanym przez te niewinne napozór i ładne w kształcie chrabąszcze; da nam to może rozpęd do walki, która, jeśli ma być skuteczna, musi być ogólna.

Chrabąszcz majowy i pędrak, czyli larwa, z której on się lęgnie, są wielkimi szkodnikami w rolnictwie i sadownictwie.

Chrabąszcz, pojawiający się w pierwszych dniach maja, obgryza młodziutki listeczki drzew owocowych przydrożnych i leśnych. Okaleczałe drzewa tracą zawiązki kwiatów i liści, przez co rozwój ich zostaje zahamowany, drzewo choruje i oczywiście nie może wydać normalnej ilości owocu, ani przyrostu.

Szkody, wyrządzone przez larwy, pospolicie zwane pędrakami, są jeszcze większe, choć nie rzucają się w oczy. Żarłoczne te pędraki w ciągu 4-letniego swego życia w ziemi pochłaniają masę pokarmu. Za pokarm zaś służą im korzenie wszystkich roślin i drzew. Takie stałe podgryzanie korzeni żadnej

roślinie na dobre nie wychodzi. Zboża giną gniazdami, a czasem i łanami, starsze drzewa ustają we wzroście, słabo owocują — młodsze nawet usychają.

Szkody, spowodowane przez chrabąszcze majowe, obliczane są na kilkaset milionów złotych. Widać, nawet z tego pobieżnego zarysu, że prosto obowiązkiem obywatelskim jest nieuchylenie się od akcji tępienia tego owadu. Rolnik, czy ogrodnik w walce tej będzie miał prócz tego własny interes, bo chrabąszcza — to złodziej, który okrada jego kieszeń.

Walka z tym szkodnikiem jest nie tyle trudna, ile zmuśna i wymagająca dużo rąk, polega bowiem na ręcznym zbieraniu chrabąszczy w okresie ich rójki. Zbierania należy dokonywać jaknajraniej, kiedy te owady są zdrętwiałe od nocnego chłodu i nie mają siły fruwać, ani nawet chodzić. Zwykle można to czynić do godziny 9-ej rano.

Otrząsa się chrabąszcze z gałęzi (trzęsienie całem drzewkiem jest szkodliwe, bo można nadwyrężyć system korzeniowy). Strącać można ręką, specjalnym hakiem, lub wreszcie obuchem siekiery, grubo owiniętej szmatami. Pod drzewem, celem ułatwienia sobie zbierania, podścielamy płachty, rogoże, lub maty; lub strząsamy chrabąszcze na przykoszoną ziemię, z której miotłą je zmiatamy. Sposób zbierania prosto ręką jest najdokładniejszy, ale wymaga bardzo wielu rąk. Zebrane chrabąszcze natychmiast zabijamy.

Samice składają jajka w pierwszej połowie maja — w tym też czasie walka z nimi musi być prowadzona najenergiczniej. Każda sztuka, zabita w tym czasie — to o kilkadziesiąt sztuk mniej za 4 lata.

Zabijania chrabąszczy dokonujemy przez sparzenie ich wrzącą wodą w kubkach, cebrach, lub beczkach. Jeśli zaś chrabąszcze mają być suszone, to zabijamy je dwusiarczkiem węgla lub eterem i następnie rozsypujemy na ramach siatkowych na słońcu.

Chrabąszcze sparzone możemy zużytkować doraznie, karmiąc nimi ptactwo domowe. Jeśli ich jest tyle, że odrazu skarmić ich niema możliwości, a suszeniem z tych, czy innych względów bawić się nie możemy, to nie należy zapominać, iż stanowią one cenny materiał na kupy kompostowe. Najkorzystniej jednak przedstawia się suszenie chrabąszczy i gromadzenie z nich zapasów na zimę. Według obliczeń na dzisiejsze ceny, wartość pokarmu 100 kg. suszonych i zmielonych chrabąszczy wynosi około 50 zł.

Gdzie dużo chrabąszczy, a rąk do ich zbierania poddostatkiem, możnaby zorganizować rodzaj przedsiębiorstwa, zbierając owady w celach zysku. Sądzę, że mogłoby się to zupełnie kalkulować.

Aby walka była zupełna, musi iść i w kierunku

LUX do prania delikatnych materiałów

Lux stania! Łagodna i obfita piana płatków Lux usuwa wszelki brud, nie niszcząc tkanin.

Kolory, materiały, ręce chroni łagodna piana płatków

LUX

tępienia larw. Tutaj pomóc nam mogą jedynie skrzydlaci sprzymierzeńcy. W tym celu należy, obok innych sprzętów rolniczych, posiadać kurnik na kołach i podczas orania wywozić w nim kury na pole. W ciągu kilku godzin stadko kur potrafi wybrać tysiące pędraków. Odbije się to dobrze nie tylko na korzeniach roślinek, ale i na kurach, które, karmione tłuszczem pędrakami, będą się dobrze nosły.

Kurnik na kołach — to sprzęt, który powinien się znajdować w każdym gospodarstwie.

Rolnik musi pamiętać, iż szkody, czynione przez owady, byłyby nieskończenie większe, gdyby nie ptaki. Do środków walki z tymi szkodnikami należy więc i ochrona ptactwa dzikiego. Obowiązkiem rodziców jest uświadamiać dzieci, jak bardzo są nam te skrzydlate rzesze potrzebne, i nie pozwalać na bezmyślne chwytanie w sidła, czy wybieranie z gniazd młodych ptaszek. Jaknajdalej idąca ochrona ptaków leży w interesie rolników, ogrodników oraz całego kraju. W walce z chrabąszczami duże zasługi oddają nam wrony i im więc należy się za to opieką.

Sfery rządowe zwróciły również na tę sprawę uwagę i w miarę możliwości przychodzą z pomocą. Do walki z przewidywaną masową rójką chrabąszcza majowego ma być wciągnięte wojsko (obieranie i otrząsanie owadów z drzew przydrożnych i t. p.) oraz

dziatwa szkolna. Naczelnicy gmin mają przedstawić swym władzom sprawozdania z przebiegu walki, a więc dane co do ilości zebranych i ususzonych chlebąszczy, a także własne spostrzeżenia, co do wysokości szkód, wyrządzonych w plonach.

Marzenna Saryusz-Stokowska

O REFORMĘ W HANDLU JAJAMI

Panie, mieszkające na wsi lub po małych miasteczkach, gdzie mają jaja od własnych kur, lub kupują je na targu, u okolicznych włościanek-gospodyń, nie znają tej bolączki, którą dla mieszkanki miast wielkich stanowią zbyt drobne jaja. Jaja te mają nieraz połowę wagi dobrego jajka, a płaci się za nie tyle, co i za duże, bo ceny jaj są ustalane na sztuki. Niezależnie od tego, że takie jaja bardzo przepłacamy, mamy z nimi nieprzyjemne niespodzianki przy robocie legumin, wypieku ciast i t. p., gdyż przepisy są obliczane na jaja wagi około pięćdziesięciu gramów, a w handlu mamy przeważnie jaja, ważące około trzydziestu pięciu gramów.

Widząc te stosy drobnouchnych jajeczek, piętrzące się na straganach rynków i na ladach sklepów spożywczych, możemy przypuścić, że w Polsce hodujemy jakąś specjalną rasę karłowatych kurek, lub że w handlu są jaja gołębie.

Większe jaja, oczywiście, znaleźć można, lecz po cenie znacznie wyższej od ustalonej. Handlują nimi przeważnie podmiejskie gosposie, lub udające je, zawodowe handlarki. Handel idzie z koszyków. Jaja są duże i ładne. Jest jednak w tem poważne „ale”: handlarki, pewne bezkarności, mają zawsze pomiędzy świeżutkimi jajami część nieświeżych, często nawet zalężonych jaj, które zręcznie umieją wsunąć kupującym.

Hodowczynie kur rasowych znowu narzekają, że ceny jaj na sztuki fatalnie się odbijają na sprzedaży jaj dużych, wyborowych, jakie one produkują. Po sprzedaniu pewnej ilości jaj na hodowlę, resztę zmuszone są sprzedać na jedzenie, a nabywcy nie chcą płacić wyższych cen, powołując się na niskie ceny, ustalone w stolicy.

Tłumaczono mi, że przyczyną tych wysoce anormalnych stosunków w handlu jajami są dziwaczne warunki, na jakich się wydaje pozwolenie na eksport jaj zagranicę.

Eksport jaj stanowi bardzo poważną pozycję w naszym handlu zagranicznym i w żadnym razie przeszkód mu stawiać nie należy; jednak nie powinien być prowadzony kosztem pozbawienia tego produktu tych wielkich centrów, tych skupisk ludzkich, jakimi są wielkie miasta.

Otóż — taki eksporter jest obowiązany, jako ekwiwalent każdego wagonu jaj, na których wywóz otrzymuje pozwolenie, pewną ilość jaj dostawić do tych dużych miast.

Zasada bardzo piękna, którejby nie można było nie zarzucić, gdyby nie to, że nie istnieje żadne zastrzeżenie, co do rozmiaru tych jaj.

Drobnych jaj, poniżej pewnej wagi, zagranicą nikt nie kupi. Nawet te większe, dzięki niezbyt dobrej selekcji, nie są zbyt wysoko cenione i na rynkach za-

chodnio-europejskich, często mają niższą cenę od jaj z innych krajów, ba! nawet z Sowietów pochodzących. Zmiana sposobu uwarunkowania licencji wywozowych — dostarczanie stolicom pewnych ilości jaj na wagę — niewiele złemu pomoże, gdyż znowu będziemy mieli tylko jaja najdrobniejsze, takie, jakich żaden Niemiec, Francuz, ani inny Anglik nie kupi.

Jedynym sposobem, ochraniającym sprawiedliwie interesy producenta i konsumenta, byłaby sprzedaż jaj na wagę.

Żadne tłumaczenia przekupek, że jaja nie dadzą się równo przeważać, nie mogą być brane pod uwagę. Przecież ani jabłka, ani gruszki, ani duże śliwki, też się nie dają równo ważyć — wprost zamienia się jedną sztukę większą na mniejszą, lub odwrotnie. Jeśli to nie jest dostateczne, dodaje się lub ujmuje drobnych odważników, aż się ustali dokładną wagę.

Takich manipulacji z drobnymi odważnikami nasi sprzedawcy specjalnie nie lubią, gdyż zmusza to do dokładnego, drobiazgowego obliczania, często do wydawania reszty miedzianym bilonem, którego zwykle brak.

A jednak wkońcu kiedyś muszą się nauczyć zachować i sprzedający i kupujący, żeby i jedni i drudzy nauczyli się cenić te drobne grosiki, z których się składają duże sumy. Szczególniej obecnie, kiedy na skutek zmniejszenia pensji urzędnikom i emerytom — którzy stanowią bodaj czy nie połowę pracującej inteligencji — sprawa ustalenia słusznych cen i unormowania warunków handlu artykułami pierwszej potrzeby nabiera specjalnej ostrości.

Jajko w mieście jest przedmiotem pierwszej potrzeby narówni z chlebem i mlekiem. Stanowi ono codzienną niemal kolację studenta i studentki, urzędnika i urzędniczki, nie prowadzących własnego gospodarstwa i których szczupłe środki nie pozwalają na drugi, poza obiadem, posiłek w jadłodajni. Jajka jedzą nasze dzieci i ludzie, potrzebujący intensywniejszego odżywiania. Jajko na twardo i bułeczkę lub chleb z masłem zabiera pracownik do biura i dziecko do szkoły.

I taki artykuł pierwszej potrzeby nie ma zupełnie ustalonej wagi, a właściwie cena jego nie jest zupełnie ustalona w stosunku do wagi!

Jedynym wyjściem z tego jest zmiana sposobu sprzedaży. Jeżeli nie kupujemy cukru na kawalki — nie powinniśmy kupować i jaj na sztuki.

Drugim argumentem przeciw sprzedaży jaj na wagę jest, że jajka łatwo się tłuką. Nie widzę jednak, czemu by miały łatwiej się tłuc, układane w torebkę przy ważeniu, niż obecnie, układane w taką torebkę przy odliczaniu.

Sprzedaż jaj na wagę jednakowo zadowolilaby konsumenta i producenta, dając pierwszemu za pewną, określoną sumę, pewną, wiadomą z góry ilość produktu spożywczego; drugiemu — możliwość korzystniejszego spieniężenia lepszego gatunku towaru.

Jeżeli mieszkanki miast tak dbają o dobrą wagę i dobry wypiek chleba i innego pieczywa, jeżeli wciąż wołają o unormowanie handlu mlecznym — powinny koniecznie, w najbliższym czasie, jeszcze tej wiosny (wiosna jest porą roku, kiedy najwięcej jaj się spożywa), zażądać wprowadzenia obowiązkowej sprzedaży jaj tylko na wagę.

Pani Elżbieta.



OBIADY DLA INTELIGENCJI PRACUJĄCEJ

(NA 5 OSÓB)

*Zupa przecierana z jarzyn.**Nóżki cielęce, smażone w cieście — sałata lub ogórki kiszzone.**Pianka konfiturowa z mlekiem.**Na kolację: galareta z nówek i jaj na twardo — chrzan z octem.*

Dwie marchewki, dwie pietruszki, nieduży por, kawałek selera, ćwiartkę kapusty włoskiej i dużą cebulę ugotować na bardzo miękko w dwóch i pół litrach wody. Gdy jarzyny będą miękkie, dodać pół kilo obranych kartofli, parę ziarn pieprzu, listek; można — jeżeli jest — dodać mały grzybek; osolić do smaku, gotować dalej. Gdy się kartofle rozgotują, przetrzeć całą zupę przez sito lub durszlak, zaprawić łyżką mąki i łyżką masła zasmażonego na biało, raz zagotować. Do wazy włożyć dwa żółtka, zmieszać narazie z częścią zupy, aby się nie zwały, potem wlać resztę. Można do tej zupy dodać grzaneczkę z bulki, skropione masłem i zrumienione w piecu.

Cztery nóżki, cielęce ugotować z cebulą, listkiem, pieprzem i sporą marchewką. Gdy kości tak odstaną, że je łatwo można usunąć, trzy nóżki wyjąć, zdjąć z kości, ostudzić. Czwartą nóżkę pokrajać bardzo drobno, włożyć do smaku, w którym się gotowała. Pięć jaj ugotować na twardo, pokrajać na ćwiartki, zmieszać ze smakiem i pokrajaną nóżką, dodać pokrajaną marchewkę, włożyć do foremki i zastudzić. Będziemy w taki sposób mieli smaczną, a tanią galaretkę na kolację. Do niej podamy chrzan z octem.

Ostudzone nóżki podzielić każdą na cztery części. Ze szklanki mąki, jednego dużego jajka, łyżeczki soli i wody zrobić ciasto nieco gęstsze, niż na naleśniki. Wsypać łyżeczkę proszku do pieczenia „Luba“. Maczać w niem kawałki nówek i smażyć na gorącym szmalcu. Do nich podać zieloną sałatę z octem i oliwą, lub kiszzone ogórki.

Dwa białka, pozostałe od zupy, ubić na sztywną pianę, przełożyć do miseczki, włożyć dwie łyżki konfitur poziomkowych, truskawkowych lub malinowych. Zamiast konfitur można użyć marmelady owocowej, w takim razie należy jeszcze dodać kopsiastą łyżkę cukru. Białka z konfiturami ucierać drewnianą łyżką, kręcąc wciąż w jedną stronę, aż masa zgęstnieje i nabierze połysku. Ułożyć ładnie na półmisku i podać, zależnie od gustu, z biszkopcikami, czy też z zimnym mlekiem.

Pani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

OMLET Z GROSZKIEM.

Półkilową puszkę drobniejszego, zielonego, konserwowanego groszku zagrzać dobrze z łyżką śmietankowego masła. Gdyby groszek miał zbyt dużo wody, odlać nadmiar, lub zaprawić odrobiną (na koniec noża) mąki i zagotować — za dużą ilość płynu rozmoczy omlet i zepsuje jego smak. Rozbić sześć do ośmiu jaj — oddzielnie żółtka, oddzielnie białka. Żółtka utrzeć mocno z łyżeczką soli i niedużą filiżanką (od kawy) mleka lub śmietanki. Białka ubić na sztywną pianę, w ostatniej chwili zmieszać z żółtkami. Na dwóch, jednakowego rozmiaru patelniach rozpuścić po łyżce masła, wylać na każdą połowę jajecznej masy. Zrumienić od dołu, wsunąć do piecyka, aby omlety po wierzchu też zgęstniały. Jeden położyć na okrągły półmisek, na nim ułożyć grubą warstwę groszku, przykryć drugim i natychmiast podawać. Można też obydwie omlety usma-

żyć na jednej patelni, w takim razie pierwszy usmażony, przełożony na półmisek, musi stać w ciepłe. Gdy drugi gotów, dopiero wtedy kładziemy groszek i przykrywamy go omletem. Podawać natychmiast, aby omlety nie opadły.

JAJA NADZIEWANE.

Zamiast jaj kurzych można użyć na tę potrawę jaj indyckich lub kaczych, których wiosną jest nieraz więcej, niż potrzeba na hodowlę, a które do ciasta i legumin są mniej od kurzych odpowiednie. Jaja ugotowane na twardo przekrajać wraz z lupinkami wzdłuż na dwie połowy. Używać do tego bardzo ostrego noża, aby się skorupki przy krajanii nie pokruszyły. Białko i żółtko ostrożnie wyjąć, usiekać drobno. Na sześć jaj ugotowanych dodać jedno surowe, które również ostrożnie, nożem przeciąć, aby skorupkę użyć do nadziania. Dużą garść szczypiorku lub zielonej cebuli drobno usiekanej, drugą garstkę koperku, łyżkę masła i ze dwie łyżki tartej bułeczki zmieszać z usiekanymi jajami, wymieszać doskonale, osolić od smaku, odrobinę popieprzyć białym pieprzem. Napęlić skorupki, nadając kształt całego jajka. Ustawić jajka na brytfannie, grubo posypanej popiołem lub piaskiem, aby się jaja nie przewracały. Posypać jajka ostrym, tartym serem i wstawić w piec dla zrumienienia. Podawać ze szpinakiem, groszkiem, purée kartoflanem, a najlepiej z zieloną sałatą, zaprawioną śmietaną.

PROSIĘ W GALARECIE.

Ćwiartkę prosięcia (wagi około półtora kilo) ugotować z marchewką, pietruszką i cebulą, jak na potrawkę. Mięso wyjąć z rosolu, wyluzować większe kości, ostudzić. Smak wygotować do ilości najwyższej trzech szklanek; jeśli nie zupełnie przezroczysty, sklarować białkiem, rozbitem z łyżką octu. Nie należy zapominać, że płyn tylko w takim razie się sklaruje, jeśli go zmieszamy zimny z białkiem i dopiero wtedy zagotujemy. Przepędzić przez gęstą serwetę, zakolorować paru kroplami karmelu na jasno-złoty kolor, zaprawić białą żelatyną, biorąc dwa do trzech listków żelatyny na szklankę płynu. Na dno foremki nalać szklankę tej galarety, dobrze zastudzić. Tymczasem prosięcinę pokrajać na ładne kawałki. Dwa jaja ugotowane na twardo pokrajać w talarki. Tak samo pokrajać marchewkę z rosolu (kto lubi — i pietruszkę). Przygotować parę korniszonów, kilka plasterków cytryny, jeśli są, kilka grzybków lub rydzyków. Wszystkimi temi dodatkami wyłożyć foremkę, można też ułożyć w niej listki zielonej pietruszeczki. Ułożyć kawałki prosięcia, skórka w dół, resztę dodatków, na koniec zalać galareta i wynieść na chłód na sześć godzin przynajmniej. Podając na stół, wyrzucić z foremki na półmisek. Oddzielnie podać sos tatarski, musztardowy, lub chrzan z octem.

BOEUF STROGONOFF.

Czy potrawa ta jest rosyjska, czy też francuska, a tylko nosząca nazwisko rosyjskiego gastronomi, jest to dla nas obojętne, gdyż zyskała u nas prawo zupełnego obywatelstwa, a ponieważ jest smaczna i przyrządza się nadzwyczaj prędko, zasługuje na specjalne uznanie.

Siedemdziesiąt pięć deka miękkiej krzyżówki, zrazówki, lub skrzydła pokrajać w plastry, zbić mocno, na koniec pokra-

cukier krzepi

„Ograniczenie cukru w pożywieniu niemowlęcia może pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki”.

Dr. R. Stankiewicz

(Warsz. Czasop. Lekarskie 1928 r. Nr. 24-25)

MAŻ PANI

będzie zachwycony, gdy zobaczy kołnierz, lub koszulę praną w ASKO.

ASKO Sp. Akc. Chłodna 5 tel. 502-54 646-67

pierze wykwintnie ■ tanio ■ punktualnie ■ bez chlorku.
Kilkadziesiąt sklepów przyjmuje koszule i kołnierze do prania w ASKO. — Informacje telefonicznie. 498

jać na drobne, podłużne kluseczki. Dziesięć deka masła zrumienić na bardzo dużej patelni, wrzucić mięso, już na patelni posolić, popieprzyć, zrumienić mocno na silnym ogniu. Odsunąć na minut parę na bżeg blachy, aby nieco doszło, wlać kwaterek kwaśnej śmietany, zagotować raz tylko i natychmiast podawać z purée kartoflanem, kaszą kartoflaną puchową (kartofle przetarte wprost na półmisek przez specjalną maszynkę), z kartofelkami przysmażonymi, lub nawet z wody. Stać ta potrawa nie powinna, gdyż mięso stwardnieje. Najsmaczniejsza jest bardzo gorąca, wprost z patelni.

BUDYŃ Z SERA.

Aby budyń był smaczny, należy brać nań ser lub tworóg nieprzekwaśnialy, nieprzegrzany i doskonale odciśnięty z serwatki. Czterdzieści deka takiego sera przepuścić przez maszynkę do mięsa lub przetrzeć przez sito. Przełożyć do glinianej miski lub makutry i ucierać mocno, dodając szklanek mąki pszennej, szklanek śmietany lub słodkiej śmietanki, trzy kopiate łyżki cukru, trzy żółtka, dwucalowy kawałek wanilii, utłuczonej z cukrem lub pięć gorzkich migdałów, również utłuczonych z cukrem. Gdy masa spulchnieje i narosnie, dodać garstkę czarnych rodzynków (koryntek) i ubite na sztywną pianę białka, prędko wymieszać, aby piana nie opadła. Przełożyć do budyńowej formy, grubo wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką. Gotować na parze, licząc od chwili zagotowania godzinę i kwadrans. Przełożyć na półmisek.

Oddzielnie podać sos szodonowy, zrobiony w sposób następujący: Szklanek cukru utrzeć do białości z trzema najświeższymi, dużymi żółtkami. Dodać niedużą szklanek białego wina (może być dobre owocowe, byle nie skwaśniale, bo sos się zwarzy). Wymieszać w rondelku, postawić na zakrytej blasze i ubijać trzepaczką lub miotelką, aż się podniesie i zacznie gęstnieć. Można w ostatniej chwili dodać kieliszeczek rumu lub araku. Podawać natychmiast, aby szodo nie opadło. Należy bardzo uważać, aby sos się nie zagotował, gdyż mógłby się zwarzyć.

Tańszy sos do tego budyńiu jest owocowy: Szklanek jagiegobądź syropu owocowego, pół szklanki wina owocowego i szklanek wody zagotować z kawałkiem wanilii lub cynamonu. Łyżkę mąki kartoflanej rozbić w pół szklance zimnej wody, dolać do gotującego się sosu, dobrze w nim rozbić i jeszcze raz zagotować, aż się stanie klarowny. Zamiast wina można użyć mały kieliszek araku lub rumu. Należy go jednak wlewać do sosu już gotowego, gdyż gotując się, traci aromat.

Pani Elżbieta.

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCJI

KSIEGARNIA ŚW. WOJCIECHA.

Kazimiera Alberti: „Pochwała życia i śmierci“ — (poezje).
Zdzisław Dębicki: „Iskry w popiołach“.
Edmund Jankowski: „Sad i ogród owocowy“.

KSIEGARNIA F. HOESICKA.

Józefina Rogosz-Walewska: „Na drodze“.
„ : „Na szali słonecznej“ — poezje.

WYDAWNICTWO WSPÓŁCZESNE.

H. zur Mühlen: „Koniec i początek“ — przekład Ireny Tuwim.

BIBLIOTEKA GROSZOWA.

Stefan Napierski: „Pusta ulica“.

KOŁO WŁOSKIE IM. LEONARDA DA VINCI.

Jan Rzewnicki: „Bohaterowi“... obraz dramatyczny z powstania styczniowego.

BIBLIOTEKA ISKIER.

M. B. Lepecki: „Na Amazonce i we wschodnim Peru“.

POLSKIE TOW. PRZYJACIÓŁ KSIĄŻKI.

Gunnar Gunnarsen: „Siedem dni ciemności“ — powieść — przeł. Marceli Tarnowski.

INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE“.

A. Kallas: „Zapolska“ — powieść biograficzna.
Thornton Wilder: „Most San Luis Rey“.
Stefan Zweig: „Fouché“ — powieść biograficzna — przeł. R. Cennerszwerowa.

POLSKI INSTYTUT WYDAWNICZY „SFINKS“.

Alfredo Viglieri: „48 dni wśród lodów“ — przełożył z oryginału włoskiego Franciszek Baturewicz.

DROBNE OGŁOSZENIA

AKUSZERKA HAHN udziela porad paniom miejscowym i przyjezdnym. Hoża 1a m. 4, tel. 8-53-03.

TEPI MOLE w ZARODKU



WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Ausirji, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.
Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.
Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz“. Rymarska 8, tel. 244-18.